



ROK LIX

Nr 47

PRZEGŁĄD KOBIECY

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 20 LISTOPADA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: W brew opinii całego kobiecego świata — *H. Ceysingerówna*. Kobiety a liga narodów — *Z. Bogórska*. Nowy zastęp pilotek — *K. Muszałówna*. Zamiast radja — *M. B. - Ł.* W Marja alewska w powieści współczesnej — *C. W.* Wiersz: Z cyklu „Prymitywy” — *Juljusz Wirski*. Jedenaście dni nad morzem — *N. Samotychowa*. Jeden dzień na Maderze c. d. — *P. Montegazza* — autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Garść wspomnień z r. 1863 (c. d.) — *Izabela z Suheckich Kuncewiczowa*. Członek Rządu Narodowego, Marjan Dubiecki — *K. Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Inkrustacje kretonowe. Bielizna i negliże — *W. D.* Po wakacjach — *Well*. Polska współczesna. O wnętrzach mieszkaniowych (c. d.) — *Zygmunt Knothe*. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — *Dr. J. Świńska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kasterska*). Arkusz wzorów.

WBREW OPINII CAŁEGO KOBIECEGO ŚWIATA



d pewnego czasu niektóre pisma codzienne poczęły zajmować się sprawą nierządu. A zajmują się nią w sposób szczególny i szczególnie zwracający uwagę. Raz po raz czyta się w różnych pomniejszych, świeżo zrodzonych t. zw.

„organach prasy” energiczne wezwania lub pytania pod adresem policji: dlaczego nie „uprzęta” prostytutek z „pryncypalniejszych” ulic miasta, jak w znakomitej polszczyźnie wyrażają się autorowie tych wzmianek. W innych znów wypowiada się dosyć otwarcie pogląd, że tylko takie zarządzenie policyjne, które zabroniłoby prostytutkom kręcić się w śródmieściu i cały świat nierządu zepchnęło na krańce stolicy, oraz zamknęło go w pewnych „domach”, mogłoby nadać Warszawie ten „moralny” wygląd, o który tak chodzi tym szczególnym purytanom.

W istocie, zapytałby można, skąd ta nagła troskliwość o budujący wygląd ulic warszawskich? Bo pozornie o nic innego tu nie chodzi...

Uwolnienie śródmieścia od widoku prostytutek nie jest przecież uleczeniem ciężkiej choroby społecznej, nie jest nawet żadnym półśrodkiem w tej sprawie, jest poprostu niczem, ale w stosunku do tych nieszczęsnych kobiet byłoby niekonstytucyjnym ograniczeniem praw jednostki, wskrzeszałoby stare metody reglamentacji policyjnej...

Jednocześnie, jakby posłuszna wezwaniom, rozpoczyna policja „uprzętanie” to stosować w sposób,

o którym wiele powiedziećby można, gdyby się wedle wyrażenia poetki „dało głos wszystkim krzywdom ziemi”.

A co jeszcze ciekawsze, zaczynają kursować wersje, że w sferach policyjnych przeważa obecnie pogląd, iż celem ukrócenia „rozzuchwalonego świata nierządnic” i ich „przyjaciół” należy... no, ni mniej, ni więcej... tylko wskrzesić instytucję domów publicznych!...

I tu pada snop światła na te dziennikarskie alarmy.

Każdy, komu nie obce są metody postępowania podziemnej, międzynarodowej mafji, robiącej fortuny na handlu białymi niewolnicami i na degenerowaniu całej ludzkości, wie, że tajemniczymi drogami potrafi ona docierać i do prasy i do czynników państwowych i prawodawczych wszystkich krajów. Ona to przez długi czas utrzymywała opinię publiczną całego świata w mniemaniu, że usankcjonowany przez państwo dom publiczny jest najmniej szkodliwą formą tego „koniecznego” zła, jakim jest nierząd.

Wysiłki całego szeregu bojowników za prawdę, liczne kongresy uczonych, społeczników, lekarzy i t. d., obaliły z gruntu tę tezę. Wykazały, że dom publiczny to najpotworniejsza jaskinia, której właściciel zainteresowany jest w szerzeniu najbardziej wyrafinowanej rozpusty; nowe badania naukowe chorób wenerycznych dowiodły też, że właśnie dom publiczny jest i musi być najstraszniejszym ogniskiem zarazy.

Ale... dom publiczny, to najznakomitszy „interes“ na świecie, to sam „kokos“, jak się dziś mówić zwykło.

I oto jesteśmy świadkami zręcznego urabiania opinii publicznej w kierunku wznowienia tej prastarej instytucji, mającej za sobą tradycje Babilonu i Fenicji... Napierw wznieca się w publiczności oburzenie przeciw prostytutkom, po to, by w konkluzji dojść do wniosku, że jednak dom publiczny pod dozorem lekarzy, policji i t. d. i t. d.

Otóż nie! To się nie uda już dziś!

Ale nie dziwny się, że ludzie ulegają tym niecnym sugestjom i inspiracjom.

Stare nałogi są zwykle bardzo silne.

Wiemy, że policja w Polsce bardzo źle przyjęła rozporządzenie o zniesieniu domów publicznych, domów schadzek i t. p. Policja lwowska przeciw zarządzeniu temu wniosła nawet protest w r. 1922. Tak się to wydawało niemożliwe, niepojęte i niewykonalne. Policja warszawska ma pośród siebie dotąd bardzo dużo elementów, wychodowanych w tradycjach rosyjskiego regimu. Niedziw, że w głębi duszy zachowała przeświadczenie, iż system dawny regulowania nierządu, był jednak lepszy, łatwiejszy do wykonania.

Nie bierze się tylko pod uwagę jednej drobnej rzeczy, a mianowicie, że rządy rosyjskie w Polsce popierały szerzenie się nierządu; rozpusta młodzieży była im na rękę, bo odciągała młodzież tę od polityki, bo wysuszała w duszach jej źródła idealizmu i ideowości, bo fizycznie degenerowała pokolenie za pokoleniem. Dlatego pod rządem rosyjskim domy publiczne miały państwową rację bytu, i dlatego dla młodzieży akademickiej z rozporządzenia policji znizano tam opłaty...

Ale dziś?...

I co na te pomysły Ministerstwo Spraw Wewnętrznych?

Czas już doprawdy, aby tam przynajmniej, gdzie o sprawy kobiet chodzi dano w tem Ministerstwie wpływ i głos kobietom.

Brak tego wpływu tam, gdzie się różne rzeczy w sprawach kobiecych decyduje i zarządza — odbija się ujemnie na losach społeczeństwa.

Nie dziwny się też wzmożonej akcji sfer, ciągnących zyski z nierządu. Jest to właściwie reakcja, reakcja na pewne kroki, zmierzające do zatamowania szeroko rozgałęzionego, a dochodowego interesu.

Policja kobieca prowadzi po sześć spraw dziennie przeciw stręczycielkom, utrzymującym tajne domy schadzek, handlarzom kobietami i dziećmi, alfonansom, sutenerom i t. d.

To „towarzystwo“ broni się, wskazując na wzrost liczebny prostytutek.

Prostytucja istotnie wzrosła w ostatnich czasach w sposób bardzo poważny.

Przyczyną tego niemal wyłącznie bezrobocie.

Z fabryk wydalą się przedewszystkiem robotnice; w biurach redukuje się przedewszystkiem urzędniczki; ze szkół usuwa się przedewszystkiem nauczycielki.

Co ma robić pozbawiona pracy kobieta?

Ma przed sobą dwie ewentualności: samobójstwo albo ulicę.

Obfitą jest kronika samobójstw kobiet młodych i w pełni sił.

Alę ostatecznie nie każda ma odpowiednią dozę odwagi; w niektórych instynkt życia gra silniej...

A pokusy osaczają ze wszystkich stron... namawia stręczycielka, uwodzi chlebobawca, obiecuje raje za morzami handlarz żywym towarem.

I oto rzuca się uczciwa dotąd pracownica w tę otchłań bez wyjścia.

A wtedy zaczyna się szczucie nieszczęsnego zwierzęcia ludzkiego ze wszystkich stron. Szczuje na nią dziennikarz, który wczoraj korzystał z jej usług i jutro korzystać będzie, aresztuje ją policjant, któremu ze strachu oddaje się zadarmo, katuje i odbiera jej pieniądze—alfons; cały świat silnych, doskonale przez prawo ubezpieczonych mężczyzn, równie winnych nierządu i rozpusty, jak ona, pastwi się nad nią bezbronną, głodną, chorą...

Cóż dziwnego, że ona ostatecznie wpada w szal?...

Charakterystyczne jest, że w żadnym ze wspomnianych powyżej artykułów dziennikarskich nie pisze się: dajmy bezrobotnym kobietom pracę, stwórzmy domy zarobkowe, dla chcących z drogi nierządu powrócić! zamknijmy nieletnie prostytutki w domach wychowawczych, gdzie zdobędą fach, gdzie wpływy dodatnie duszę ich wyleczą...

Nie! mówi się tylko: zepchnijmy nierząd ze śródmieścia, niech go ludzie nie widzą! niech się nie rzuca w oczy, niech się tą sprawą nie interesują tam na peryferjach stolicy, niech ropieje gangrena!... tam nikt nie zagląda... tam można je wszystkie zgromadzić w pewnych „domach“... i wszystko będzie po staremu, jak niegdyś... w największym porządku...

Ech, nie!

Tak nie będzie.

Gdyby nawet nie konwencje międzynarodowe, które obowiązują... to cały uświadomiony i myślący świat kobiecy polski bez względu na odcienie polityczne, od prawicy do najsłabszej lewicy, przeciw potworności tej zaprotestuje.

To się już nie uda.

H. Ceyssingerówna.



KOBIETY A LIGA NARODÓW



iódmy paragraf konwencji, na mocy której działa Liga Narodów, głosi, że „wszystkie funkcje wewnątrz Ligi oraz związane z nią biur, nie wyłączając Sekretariatu, są dostępne w równej mierze dla mężczyzn, jak i dla kobiet”.

Paragraf ten jest uważany — i słusznie — za wielkie zwycięstwo feminizmu. W praktyce jednak zwycięstwo to jest tylko połowicznym, gdyż kobiety w pracach Ligi Narodów odgrywają rolę wprawdzie dość czynną, bynajmniej jednak nie na stanowiskach kierowniczych.

Przedewszystkiem podkreślić należy, że od czasu powstania Ligi ani jedno z wchodzących w jej skład państw nie wysłało dotychczas kobiety w charakterze pełnomocnego delegata. Należące do personelu delegacyjnego kobiety spełniają jedynie rolę przewidzianych ustawą doradczyń technicznych do spraw specjalnych. Pozatem — ilość tych doradczyń jest znikoma, na ogólną bowiem liczbę 55 państw, wchodzących w skład Ligi, tylko sześć włączyło w tym roku po jednej kobiecie do swego personelu delegacyjnego.

Pierwszemi z pośród tych delegatek do Ligi Narodów były, oczywiście, kobiety z krajów skandynawskich. Dwie z nich: Fru Buggo Wicksell ze Szwecji i Fröken Forchhammer z Danii zasiadają corocznie w każdym zgromadzeniu, począwszy od r. 1920. Norwegię reprezentowała do roku ubiegłego Dr. Kristina Bonnevie, nawał jednak pracy naukowej na stanowisku profesora uniwersytetu w Osle zmusił ją do ustąpienia miejsca innej delegatce, Fru Larsen Jahn.

Ta ostatnia jest typem bardzo ciekawym. Bibliotekarka z zawodu, żona i współpracowniczka Głównego Dyrektora Państwowego Biura Statystycznego w Norwegii, uważa ona jednak gospodarstwo domowe za najwyższy, najszlachetniejszy i najciekawszy zawód dla kobiety. Zajmuje się też gorliwie propagandą za podniesieniem tego zawodu do pierwszorzędного czynnika w życiu gospodarczym i społecznym.

O wszechstronności jej zainteresowań świadczy ponadto żywy udział w ruchu oświatowym i społecznym, szczególnie w zakresie higieny społecznej. Fru Larsen Jahn w przeciągu swej długoletniej pracy bibliotekarskiej zawiązała bardzo ścisły kontakt z różnymi instytucjami oświatowo-wychowawczymi i współpracowała nieraz z nimi przy opracowywaniu programów nauczania. Obecnie marzeniem jej jest stworzenie stałego instytutu do spraw oświatowych i wychowawczych przy Lidze Narodów.

Członkiem delegacji angielskiej została w tym roku Dame¹⁾ Edith Lyttelton, która brała już udział w pracach Ligi w r. 1923. Zdolna ta i energiczna działaczka społeczna pracuje oddawna nad zbliżeniem wzajemnem kobiet ze wszystkich krajów, w skład Imperjum Brytyjskiego wchodzących. W tym celu dała ona impuls do stworzenia t. zw. „Victoria League”, międzynarodowej organizacji kobiecej, łączącej ze sobą głównie te kraje, nad którymi rozciąga się hegemonja Wielkiej Brytanji. Związek ten nie ma jednakże charakteru wyłącznie polityczno-imperjalistycznego; przeciwnie, dąży on przedewszystkiem do polepszenia losu kobiet we wszystkich dominjach agielskich, do podnoszenia w tych krajach ogólnego dobrobytu oraz do związania kobiet ze wszystkich terytoriów Imperjum brytyjskiego w jedną wielką rodzinę.

Szczególnie interesuje się Dame Edith Lyttelton problematami pracy, to też bierze ona czynny udział we wszystkich przejawach działalności Ligi na polu zagadnień ekonomicznych. Jest ona także jedyną kobietą z pośród grona wybitnych mężów stanu angielskich, którzy pod przewodnictwem Lorda Buckmaster prowadzą obecnie badania nad kwestją alkoholizmu w Anglii.

Piątą z kolei delegatką australijską do Ligi Narodów jest wysłana w tym roku Miss Freda Bage, profesor biologji na uniwersytecie w Queensland. Oto kilka szczegółów z jej biografji: ukończywszy w roku 1907 uniwersytet w Melbourne, pracuje zrazu jako asystentka i zdobywa sobie w bardzo krótkim czasie uznanie profesorów i senatu uniwersyteckiego, który udziela jej stypendjum na dalsze kształcenie się zagranicą. W roku 1909 udaje się tedy Miss Bage do Europy, gdzie zwiedza wszystkie wybitniejsze uniwersytety i prowadzi przez czas dłuższy badania biologiczne pod kierunkiem znanego profesora angielskiego Artura Dendy. Po powrocie do kraju zastępuje nieobecnego profesora Sir Baldwin Spencer'a w ćwiczeniach praktycznych z zakresu biologji z takim powodzeniem, że zostaje niebawem powołana zrazu na lektorat, a potem na stanowisko profesora uniwersytetu w Queensland.

Charakterystycznym rysem tej młodej uczoney jest jej niezwykle zamiłowanie do sportów, którego nie potrafiły w niej zagłuszyć zainteresowania naukowe. Przy całej swej wyteżonej pracy naukowej miała Miss Bage jeszcze zawsze czas na zorganizowanie licznych drużyn sportowych kobiecych i sama brała udział w uniwersyteckich match'ach tenisowych, golfowych i chockey'owych — podobno z doskonałemi rezultatami!

Grono tych interesujących postaci delegatek kobiecych do Ligi Narodów byłoby niekompletnem, gdyby pominięta została w ujem sylwetka członkini poselstwa niemieckiego, Dr. Gertrudy Bäumer. Słusznie wybrano ją na przedstawicielkę Niemiec, jest to bowiem niewątpliwie jedna z najwybitniejszych kobiet w swym kraju. Rozpoczęła ona swą karierę życiową jako nauczycielka, ukończywszy przed tem studia uniwersyteckie ze stopniem doktora filozafji, wkrótce jednak włączyła do dziedziny swych zainteresowań pracę literacką i polityczną. Była ona jedną z pierwszych członkiń niemieckiego Zgromadzenia Narodowego, obecnie jest członkinią Reichstagu, ponadto zajmuje stanowisko dyrektora zorganizowanego przez siebie Instytutu dla studjów pedagogicznych i społecznych w Hamburgu, oraz bierze czynny udział w pracach rządu w zakresie opieki nad dzieckiem. W delegacji niemieckiej pełni ona rolę technicznej doradczyni w sprawach pracy młodocianych, sądownictwa dla nieletnich i wogóle opieki nad dzieckiem.

Nawiasem mówiąc, pani Bäumer zdała już egzamin ze swych dolności dyplomatyczno-oratorskich, gdy bowiem na tegorocznym paryskim kongresie Int. Woman Suffrage Alliance poruszana była między innemi sprawa udziału Niemiec w Lidze Narodów, wywołująca pewne niezadowolenie ze strony delegatek francuskich¹⁾ płomienna mowa Dr. Gertrudy Bäumer na temat „współpracy wszystkich narodów dla dobra ludzkości” wywołała taką burzę oklasków, że wśród powszechnego entuzjazmu przedstawicielka Francu-

¹⁾ Dame — tytuł honorowy nadawany kobietom w Anglii za specjalne zasługi. Odpowiada on męskiemu tytułowi Sir.

zek, pani Malaterre Sellier, podeszła do mówczyni, ujęła ją w ramiona i siostrzanym uściskiem zadokumentowała wobec całego kongresu możliwość i chęć współpracy kobiet francuskich z niemieckimi.

Gdy pierwszy entuzjazm minął, postępek pani Malaterre-Sellier spotkał się wprawdzie z ostrą krytyką niektórych ugrupowań kobiecych francuskich, zarzucających pani Bäumer bardzo żywy udział w życiu politycznym Niemiec i to bynajmniej nie na korzyść powszechnego zbliżenia narodów — fakt dokonany pozostał jednakże faktem dokonany, ku wielkiej radości delegatek angielskich, które wyniosły ten incydent do godności pierwszego kroku na drodze dokołowej współpracy obu poważnionych narodów!

Widzimy więc w Lidze Narodów wybitne postacie kobiece na stanowiskach bądź co bądź odpowiedzialnych. Rzućmy teraz okiem na te szare bezimienne pracownice, na których barki spada jednak główna część pracy technicznej. Jak wszędzie na całym chyba świecie, tak i tu stanowiska kierownicze są w rękach mężczyzn, praca zaś drobiazgowa, żmudna i bezbarwna wykonywana jest przez kobiety.

Głównym polem tej pracy jest Sekretariat Ligi, i tu jednak nie posiadają kobiety godności wyższych, przystając na stanowiskach sekretarek osobistych i sekcyjnych. Właściwie wszystkie sekcje, za wyjątkiem higienicznej, mają za sekretarki kobiety. Dalej mamy również kobiety na stanowiskach: kierowniczką jednej z sekcji (społecznej), redaktorki oficjalnego dziennika Ligi, ekspertki prawnej przy sekcji społecznej, trzech szefów biur administracyjnych. Pozatem, oczywiście, jest jeszcze i personel techniczny, biurowy, który w wielu sekcjach składa się prawie wyłącznie

z kobiet. A więc: dwie tłumaczki: Angielka i Francuzka, 58 podsekretarek i stenografistek, 115 maszynistek i roneografek etc. Godnem uwagi jest, że wydział biblioteczny Sekretariatu Ligi Narodów kierowany jest i obsługiwany całkowicie tylko przez kobiety.

Daleko większe jednak i ważniejsze pole pracy, niż w Sekretariacie, mają kobiety w związanym ściśle z Ligą Międzynarodowym Biurze Pracy. Tutaj to właśnie rozwija się głównie działalność delegatek kobiecych. Jeden z punktów regulaminu Biura zastrzega, że „w każdym wypadku, gdy na porządek dzienny obrad wpływa sprawa interesująca bliżej kobiety, przynajmniej jeden z obecnych na posiedzeniu doradców technicznych powinien być kobietą“. Konieczną jest więc obecność kobiet przy debatowaniu nad sprawami tej wagi, jak praca kobiet i nieletnich w przemyśle, ochrona macierzyństwa oraz wszelkiego rodzaju ustawy ochronne, etc.

Taż sama zasada zasięgania rady kobiet we wszystkich sprawach, gdzie wchodzi w grę ich interesy, stosowaną jest i w innych wydziałach Ligi. Obecnie np., gdy Komisja Zdrowia zająć się ma specjalnie sprawą śmiertelności wśród dzieci i ochroną zdrowia dziecka, przygotowanie materiału do badań w tej kwestji powierzonym zostało pani Janet Campbell, jako ekspertce z ramienia delegacji brytyjskiej.

Z powyższego zestawienia widzimy więc, że i kobiety mają pewien wpływ na prace Ligi Narodów i, chociaż nie zajmują stanowisk kierowniczych, tem nie mniej leży przed niemi obszerne i wdzięczne pole do pracy. Należy mieć nadzieję, że wyniki tej pracy dadzą się wkrótce odczuć w postaci całego szeregu reform i postanowień, obchodzących zbliżającą się świat kobiecą.

Z. Bogórská.

NOWY ZASTĘP PILOTEK

Do najgorętszych i najniezmienniejszych wielbicieli sportów zaliczyć należy bezwarunkowo świat artystyczny, a przede wszystkim aktorki teatralne i kinematograficzne. Oczywiście, mamy tu na myśli artystki Europy Zachodniej i Ameryki. W Polsce, niestety, zjawiska powyższego nie można zauważyć.

Owo zainteresowanie się sportem przez artystyczny świat kobiety — łatwym jest do wytłumaczenia. Pobudki są tutaj wybitnie utylitarnej natury. Aktorki — już z racji swego zawodu — od najdawniejszych czasów wykazywały wielką dbałość o zachowanie jak najdłużej wdzięku młodości, zdrowia i siły. Sposoby, jakimi owe walory zdobywano, były najrozmaitsze i zależały przeważnie od postępów „wiedzy“ kosmetycznej w danym okresie.

Kiedy koniec wieku XIX i początek XX przyniosły z sobą hasło odrodzenia fizycznego przez stosowanie szeregu ćwiczeń fizycznych i sportów, artystki w lot zrozumiały, jak wielką korzyść przynieść im może zapisanie się w poczet pilnych adeptek nowej idei. Zrozumiały, że hasło odrodzenia fizycznego, pomagając się dla wszystkich ludzi trzech postulatów: „ruchu, słońca i powietrza“, w nagrodę zapewnia im młodość, zdrowie, siłę i pogodę ducha. Aktorki szybko uznały, że sport w daleko większym stopniu zapewni im atrybuty młodości, aniżeli zabiegi kosmetyczne, zgłosiły się tedy w całej masie pod znak wychowania fizycznego.

Szczególniej amerykańskie artystki kinematograficzne z zamiłowaniem oddają się uprawianiu sportów. Znane „miasto“ kinematografu, Hollywood, daje swym artystom wszelkie możliwości sportowe. Ba, więcej nawet. Do najważniejszych pytań, zadawanych przez dyrekcje amerykańskich towarzystw filmowych kandydatkom na artystki kinematograficzne, należy następujące: „Jakie sporty pani uprawia“?

Bo, nie zapominajmy: sport, dając dużo przyjemności tym, którzy go uprawiają, wzmacniając ich zdrowie i siły, przedłużając okres młodości, wpływać może również na estetyczny wygląd człowieka. Wyrabia zręczność i swobodę ruchów. Te właściwości zapewne mają na myśli dyrektorzy filmowi, zadając owo stereotypowe pytanie — jakie sporty pani uprawia?

Zresztą niemal w każdym filmie amerykańskim znajdziemy jakiś fragment sportowy. Wyścigi motorówek, konne, samochodowe, gry w tenisa i t. p. Jakże więc mogłyby artystki kinematograficzne nie uprawiać sportów?

Inna jest rzecz, że artystki uprawiają przeważnie sport nie dla wyników, to znaczy nie myślą o uzyskaniu rekordów. Uprawiają ćwiczenia fizyczne i sporty dla zdrowia, dla ogólnego wyrobienia, dla uzyskania walorów zręczności.

Z powyższej zasady wyłamują się wszakże jednostki, których urok i siła wrażeń poszczególnych sportów zdołały pociągnąć powyżej średniej miary.

Mamy naprzykład do zanotowania z ostatniej rubryki wydarzeń sportowych fakt wielce znamienity: oto znana artystka paryska, p. Gaby Morlay zdobyła w ostatnich tygodniach podwójne brevet pilota.

Gaby Morlay jest jedną ze znakomitszych aktorek paryskiego teatru „Comœdia”. Oddawna zdradzała wielkie zamiłowanie do podróży powietrznych. Pewnego dnia, przed niespełna rokiem, wysiadając po dokonaniu jako pasażerka wzlocie na sterowcu, zapytała pilotów, czy bardzo trudno jest nauczyć się kierować sterowcem. Odpowiedziano jej wśród kaskady lekceważącego śmiechu: „Nawet amerykanki nie próbowały dokazać tej sztuki”.

Lekceważeniem tem Gaby Morlay do żywego uczuła się dotknięta w swej ambicji kobiecej. Bez namysłu odpowiedziała z całą pewnością siebie: „No więc w takim razie pierwszą pilotką na sterowcach będzie kobieta”. Całą serją żarcików przjęto oświadczenie artystki.

Tymczasem zacięta francuska postanowiła dokonać niemożliwego, postanowiła zostać pilotem sterowcowym. Po długich staraniach uzyskuje pozwolenie na naukę pilotowania na sterowcach. Odtąd zaczyna się dla niej okres długich miesięcy, wypełnionych doprawdy tytaniczną pracą. Codzień po powrocie z teatru świetna artystka pogrąża się w techniczne studia nad sterowcami, przesiadując nad nimi do godziny drugiej w nocy. Rano o świcie (w czasie zimy) o godz. 6-ej dokonuje ćwiczebnych wzlotów z instruktorem pilotem.

Po paru miesiącach takiej pracy Gaby Morlay widzi się u szczytu swych marzeń. Zdaje niezbędne egzamina i zdobywa brevet pilota sterowcowego, stając się pierwszą na świecie kobietą, kierującą sterowcami, ku ogólnemu zdumieniu szerokich sfer lotniczych.

To nie wszystko jeszcze. Morlay znów bierze się do pracy, tym razem ucząc się pilotować na samolotach. I w tej dziedzinie zdobywa sukces nielada: otrzymuje brevet pilota na samolotach.

Pierwsza w świecie podwójna pilotka przynosi zaszczyt kobiecie francuskiej. Słusznie z największą dumą piszą o niej pisma francuskie.

Oczywiście, Gaby Morlay pozostaje wierną swemu zawodowi artystki. Nie znajdzie przecież zatrudnienia w zawodzie lotniczym, w którym mogłaby zarobkować. To też jedyną jej troską jest obawa, że nie będzie mogła dowolnie podbijać państwa powietrza, bo zbyt dużo potrzeba pieniędzy na własny sterowiec czy samolot.

W każdym razie, niezależnie od kierunku w jakim potoczy się dalej lotnicza karjera p. Morlay, stwierdzić możemy z całą radością i dumą, że umiała ona niezwykłą swą wytrwałością i siłą woli wspiąć się na wysoki szczybel drabinki czynów sportowych kobiety XX wieku.

Skoro już przeskoczyliśmy z tematu „sport wśród artystek” na temat kobiet-pilotek, warto zwrócić uwagę na jeszcze jednej świeżo kreowanej pilotce, którą znów daje światu stara Francja. Panna Denyse Collin jest piątą z rzędu pilotką francuską.

Przeszłość p. Collin jest niezwykła. W czasie wielkiej wojny z całym poświęceniem pełni funkcje siostry Czerwonego Krzyża w ambulansie dywizyjnym. W nagrodę za odwagę i poświęcenie zostaje udekorowana francuskim krzyżem wojennym, oznaką należąca do rzadkości wśród kobiet. Niejednokrotnie towarzyszyła rannym, przewożonym z placu boju samolotami sanitarnymi. To jej dało przedsmak rozkoszy

żeglugi powietrznej. Od tych niezapomnianych chwil marzy Collin o karierze lotniczej.

W owym czasie dostęp kobiet do lotnictwa należał do rzędu absolutnych niemożliwości. Collin na próżno kołacze do wszystkich drzwi, za którymi siedzą ci, którzy mogliby spełnić jej marzenie. Napróżno.

Collin nie łatwo zraża się niepowodzeniami. Nie wolno kobiecie być lotniczką, ale otworem stoją przed nią drzwi do kariery spadochronistki. Collin nie waha się, niema wyboru, przestwór powietrzny nęci ją nieodparcie. W roku 1921 Collin zostaje zaangażowana jako spadochronistka. Przeżywa wszystkie nieuchronne wrażenia, wszystek strach, mimowolne drżenie przed objęciem w ramiona przepaść. Przez wszystkie straszliwe próby, przez wszystkie trwogi śmiertelnego człowieka przechodzi zwycięsko. Oddaje w tej dziedzinie olbrzymie usługi. Jej powierzają tak strasznie niebezpieczne wypróbowywanie nowych typów spadochronu. Ona pierwsza w świecie rzuca się w próżnię ze spadochronem na plecach, co do użyteczności którego nawet lotniczy wydział techniczny odnosił się sceptycznie. Dokonuje 40-stu „zejsć”, ze spadochronami bez najmniejszego wypadku. Od władzy swej otrzymuje liczne dowody uznania, świat lotniczy ceni ją niezmiernie, publiczność szeroka kocha i podziwia.

Collin jest więc spadochronistką, co więcej jest sławną. Ach, jest to wprawdzie bardzo dużo, ale i jakże mało zarazem. W głowie Collin wciąż pali się uparcie jedna tylko myśl: być pilotką.

Nareszcie w roku ubiegłym dostaje się Collin do szkoły pilotów, założonej przez firmę Clermont Ferrand. Lata wytrwale, z radością notując dokonywane postępy. Pewnego dnia zbyt wcześnie pozwalają jej polecieć w powietrze samej. Następuje wypadek, Collin ulega licznym pokaleczeniom. Nie zraża jej to jednak do lotnictwa. Niezwłocznie po rekonwalescencji wraca do szkoły, znów lata z instruktorem. I znów przychodzi dzień, który ma być świadkiem nowego aktu jej samodzielności. Collin sama siada do aparatu w dniu 4 sierpnia b. r. Lot tym razem kompletnie udany. Collin w radosnem poczuciu swego triumfu wraca na ziemię i znów tem żarliwiej bierze się do pracy.

W trzy tygodnie potem, mając wylatywanych samodzielnie 35 godzin, Collin zdaje niezbędne egzamina i zdobywa upragniony brevet pilota.

Collin chce pójść śladami swych rodaczek, Bolland, Maryse i Tayasse, chce całą oddać się trudnej lecz radosnej pracy pilota. Collin wie, że lotnictwo jest dla kobiety trudnym zadaniem, że fabryki i linie lotnicze niechętnie widzą u siebie kobietę-lotniczkę, że raidy i konkursy lotnicze są dla nich niedostępne, że — jednym słowem — trudno jest znaleźć kobiecie-pilotce pracę zarobkową w tym zawodzie.

Ale Collin jest uparta i wytrwała. Collin myśli sobie, że przecież w lotnictwie sanitarnem znajdzie się może maleńka praca dla niej. Zdobyła przecież krzyż wojenny, potrafi godnie odpowiedzieć zadaniu.

Niechże Collin znajdzie pracę na placówce, o której marzy i dla przygotowania się do której poświęciła tyle trudów. Na spełnienie swych pragnień zasługuje w całej pełni: posiada niezwykle walory moralne, posiada przygotowanie techniczne, umie chcieć, umie osiągać zamierzony cel, a przede wszystkim ma za sobą długi szereg czynów odważnych, niezbędne kwalifikacje na pilota.

Piąta pilotka Francji — wystawia chlubne świadectwo dzielności córkom swej ojczyzny.

K. Muszałówna.

ZAMIAST RADJA

POCO KOBIEITY ZAROBKUJĄ?

Powszechnie wiadomo, że instytucje prywatne we wszystkich krajach gorzej wynagradzają pracę kobiet niż mężczyzn, chociażby były one sobie zupełnie równe pod względem jakościowym i ilościowym.

W Polsce urzędy państwowe kierują się zasadą równej płacy bez względu na płeć osoby zajmującej dane stanowisko, a właściwie stopień (kategorję) urzędniczy. Natomiast w praktyce zasada ta ulega pełnemu wynaturzeniu skutkiem tego, że kobiet nie dopuszcza się do wyższych kategorii mimo posiadania przez nie odpowiednich kwalifikacyj, więcej nawet — mimo wykonywania przez nie odpowiednich funkcji.

Niższe płace kobiet tłumaczy się zazwyczaj tem, że zarobek ich jest jakoby zużywany niecelowo, nie stanowi podstawy ich własnego utrzymania, ale w najlepszym razie jest tylko dodatkiem do zarobku głowy rodziny, częstokroć trwonionym na zbytki i fatalaszki. Twierdzenie takie, oparte na rażących realnych przykładach może być łatwo zwalczone przez wręcz inne przykłady.

Na każdym kroku widzimy, że zarobkowanie kobiet wypływa przeważnie z twardej konieczności i bywa jedynym źródłem egzystencji nie tylko ich własnej, ale i innych członków rodziny. Szkoda jednak, że żadna poważna instytucja nie przeprowadziła u nas ścisłych i bezstronnych badań w tej aktualnej sprawie. Jedynie bowiem taki materiał mógłby stanowić podstawę do uogólnień.

Zagranicą ankiety w sprawie pracy kobiet są na porządku dziennym. Przeprowadza się je w szerszych i ciśniejszych rozmiarach. Wielkie ankiety mają za sobą siłę przekonującą cyfr masowych, mniejsze

natomiast dają wyniki bardziej pewne, bliżej sprawdzone.

Jedna z letnich amerykańskich szkół robotniczych zbadała cel zarobkowania swych 101 słuchaczek, przeważnie pracownic przemysłu odzieżowego lub włókienniczego. Były to osoby w wieku lat 21 do 30, w większości niezamężne, ośmiem tylko było mężatkami. Na 101 ankietowanych 13 nie miały żadnych obowiązków natury materialnej wobec osób trzecich. Z pozostałych 88 pracownic 77 mieszkało z rodziną, 4 zaś, mając mieszkanie poza rodziną, całkowicie utrzymywały ją ze swego zarobku. Z pośród wszystkich 88 dopomagających rodzinie naogół 19 utrzymywało ją całkowicie, przyczem w 4 wypadkach rodzina ta składała się z 3, w jednym zaś nawet z 4 osób. Utrzymywani przez pracownice członkami rodziny byli najczęściej rodzice, okoliczność, stawiająca kobietę w gorsze położenie niż mężczyznę, który utrzymując własne dzieci, z czasem pozbywa się tego obowiązku i może liczyć z ich strony na odwzajemnienie. Należy dodać, że w roku 1923/24, dla którego zebrano powyższe dane, przemysł amerykański dźwigał się dopiero z kryzysu, skutkiem czego robotnicy mieli przymusowe dłuższe lub krótsze przerwy w pracy. Z pośród badanych pracownic 5 nie mogło wykazać się ani jednym tygodniem pełnego zarobku w ciągu roku i zaledwie 15 pracowało bez przerwy przez rok cały.

Cyfrы te są tak przekonujące, że mówią więcej od wszelkiej gołosłownej argumentacji na temat, poco kobiety zarobkują. Jesteśmy przekonani, że wyniki analogicznych badań w naszych stosunkach nie odbiegałyby od amerykańskich.

M. B. Ł.

MARJA WALEWSKA W POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ

Dziwne. W grzmiącej dobie wyzwolenia i — powiedzmy — umęczyczeń kobiet, zjawiają się aż dwa naraz romanse, które są jednym hymnem na cześć „wiecznej kobiecości“. Właśnie teraz, kiedy przez ślepe drzwi labiryntów pałacowych wypełzła ci chutko politykująca kurtyzana i otwarły się na ścieżaj wrota przed wybraną z woli ludu posłanką, senatorką, radną. Kiedy niema zawodu, warsztatu pracy, sportu, do którego by ławą nie podążył dzisiejszy „wolny człowiek“. Wszystko jedno — panna, wdowa, mężatka, rozwódka, matka liczego potomstwa, czy bezdzietna. Kiedy do głosu przyszła nawet krótkowłosa chłopczyca, żądająca równych praw szumienia i wyszumienia się za młodu, żeby później, jak mężczyzna, w spokoju zażywać rozkoszy ogniska rodzinnego. W dobie rwących powojennych przewrotów powieść ostatnich miesięcy cofa się nagle ku bluszczom i powojom słodkich czarów kobiecych, I... ku ślepym drzwiom pałacowych zakamarków, przez które, jak babie lato, wpadały nici omotań dokoła głów koronowanych.

Oktawjusz Aubry we Francji, Robert Heymann w Niemczech, zrobili tytułową bohaterką najnowszych swoich romansów¹⁾ „białą gołębicę“, „wcieloną

niewinność“, „cnotę“, „skromność“, „uosobienie prawdy i szczerości“. Tak nazywał ptaka z dalekiej północy orzeł z pod Austerlitz.

Dwie kobiety kochał tylko Napoleon prawdziwie. Po Józefinie Marję. Tamta zdradzała go, póki imieniem jego nie rozgrzmiał świat. Póki na skinienie Imperatora nie waliły się i nie powstawały trony. Póki Paryż nie stał się międzynarodową stolicą, a Tiulerje nie rozblęły blaskiem uroczystości, jakim nie było równych. Polska hrabina poznała go w pełni chwały. Coś z Maryli Mickiewiczowskiej było w niej, gdy stanął przed nią Cezar. I coś ze spłoniętego nad błękitnym Aarem Juljuszowego kochania.

Znamy to uroczę zjawisko z zapomnianej już dziś trzytomowej powieści Wacława Gąsiorowskiego. Z monografij Wasylewskiego, Łunińskiego, Kraushara i innych. Ale nigdzie Marja Walewska nie porywa

¹⁾ „Le grand amour caché de Napoléon“ (Marie Walewska) par Octave Aubry, Paris. Arthème Fayard et C^{ie} Editeurs. „Ein Liebestraum Napoleon I-szy.

Die Gräfin Walewska. Historischer Roman von Robert Heymann Mit 16 Abbildungen Ernstsche Verlag, Buchhandlung Leipzig,

takim czarem, jak w tych dwóch obcych powieściach. Młoda Polka, dziecko prawie, choć żona już i matka. Cudne fijołkowe oczy, cera olśniewająca, luby uśmiech, smukła postać i gibkie ruchy faliste.

Marzyła o lwie — zwycięzcy świata. Gdy przemówił do niej, była tylko lękiem i trwogą.

Przyszły listy: „Widziałem, uwielbiałem i pragnąłem tylko ciebie“. A potem: Marjo, słodka moja Marjo!... Pierwsza moja myśl jest o tobie. Jedyne pragnienie zobaczyć ciebie. Są chwile, kiedy ciąży zbytek uniesienia. Jak zaspokoić potrzebę serca, które chce rzucić się pod twoje stopy?”

Tak pisał Cezar — zdobywca, który nie znał oporu kobiet.

Młoda hrabina odrzuciła listy. Zwróciła dołączone klejnoty. Była żoną i matką. Miłość — po za przysięgą kościelną — grzech.

Ale w trzecim liście było. „Oh, gdybyś chciał!... Przyjdź, przyjdź!... Wszystkie twoje życzenia będą spełnione. Droższą mi będzie ojczyzna twoja, gdy ulitujesz się nad biednym moim sercem“.

Tu już дума i godność uczciwej kobiety przestała być jej dumą. Orzeł wzgardzony mógł mścić się — już nie na niej tylko, ale na kraju całym.

Wielcy panowie, członkowie rządu prowizorycznego zażądali ofiary.

„Kobiety wszystkich czasów wywierały wpływ potężny na politykę świata. Historia najdawniejszych i najnowszych czasów stwierdza tę prawdę. Dopóki mężczyzna nie przestanie być pastwą namiętności, dopóty wy, kobiety, będziecie najniebezpieczniejszą potęgą. Jako mężczyzna oddałabyś pani, życie za ojczyznę. Przed kobietą stają inne ołtarze poświęceń ciężkich, ale koniecznych“.

Odezwe, podpisaną przez najwybitniejszych mężów stanu, przyniósł sam książę Józef Poniatowski.

Kościół rozgrzeszył. Mąż, gorący patriota, musiał ugiać się przed wolą narodu. Co działo się w duszy hardego szambelana? Jakże walki staczał z sobą dumny magnat, pan na Walewicach? Milczą powieści, monografie, kroniki.

Aubry i Heyman otwierają ślepe drzwi cesarskich pałaców i rzucają w nie splakaną, drżącą kobietę, którą w głębokim omdleniu, jak chce romans francuski, czy też po parodniowej słodkiej, kojącej, prawie ojcowskiej pieśszczocie zdobywa według niemieckiego autora pogromca świata.

Jeden i drugi autor opiera się na źródłach. Któremu wierzyć?

Zgadniają się obaj na jedno, Nie było czystszej ofiary oddania się w pokorze i rezygnacji jak to, nad którym — po za racją stanu — zapanowała później miłość głęboka.

Aubry zapewnia, że mogła być doprowadzić słodkie bóstwo Napoleona do stóp tronu, gdyby chciała wyzyskać swój wpływ na Cezara i poddać się intrygom bystrych dworaków. Nie poddała się. Nie miała żadnych osobistych ambicji. Misję, powierzoną

sobie przez naród własny, spełniała wiernie. Mówiła Napoleonowi o Polsce przy każdej sposobności. On czasami słuchał i odpowiadał. Najczęściej całował różowe usta i kazał czekać. Aż czekanie stało się kławatą, prawem, słupem ognistym jej przeznaczeń.

Całe życie czekała. Podkreśla to Heymann i Aubry z subtelną łzą współczucia.

Czekała na Królestwo Polskie, cel swoich zabiegów i podeptanych praw moralnych i zejścia — z woli przemożnych knońców dyplomacji, do roli kochanki. Czekala — niewolnica ofiary i miłości swojej — na krótkie chwile ukojeń i długie dni męki, trwogi.

W willi na rue du Houstaye jedyną jej przyjemnością była konna przejażdżka w rannych godzinach, kiedy wiedziała, że nie przyjdzie Napoleon. W pustym pałacu Finkenstein — przelotny moment obiadu wspólnego i jakaś wymarzona słodka rozmowa przed ogniem kominka. W Walewicach — oczekiwanie przyścia na świat syna Cezara. W Paryżu — po ślubie Napoleona z Marją Luizą — długie dni nadsłuchiwanie kroków ukochanego, który zwlekał z zobaczeniem po raz pierwszy syna swego i powitaniem wiernej przyjaciółki. Już tylko o przyjaciółki.

Wojna z Rosją. Trwoga i męka czekania w pałacu Walewickim na wieści z placu boju. Wreszcie — po milczącej, bezopornej kapitulacji Paryża, gdy już nie Cezar i nawet nie mały kapral, lecz więzień jutrzejszy — z łaski Austrii „książe Elby“ — zamknął się w jakiejś wielkiej sali Wersalu, patrząc osłupiałym wzrokiem w płomień drow na kominku i nie rozumiejąc, dlaczego on — władca, stał się nagle karłem bezwolnym, — czekanie w przedpokoju wśród czeredy lokai, żandarmów, generałów, aż wezwie ją orzeł strącony. Nie wezwał. Zemdloną wyniósł do powozu o świcie wierny adjutant Napoleona, hr. Ornano, najpiękniejszy oficer armji. A jeszcze później — czekanie na wieści z Elby. Na Elbie — czekanie, zanim zostanie przyjęta ona i syn.

Strawiło się młode życie na gorzkim liczeniu dni, miesięcy, lat, aż przyjdzie jakaś jedna dobra chwila. Marja Walewska umiera 10.XII 1817 r. W rok po ślubie z hr. Ornano, za którego wyszła po wywiezieniu Napoleona na wyspę św. Heleny.

Niewiadomy, nieznany, trawą porośnięty jej grób na Père Lachaise. Ale pamięć jej trwa. Rośnie literatura o tej „najsłodszej ze słodkich“, która umiała wzruszyć nawet germańskie serce¹⁾. C. W.

¹⁾ Mało znany jest fakt, że Marja prócz syna z Napoleonem, Aleksandra, późniejszego dyplomaty francuskiego i zawsze gorącego patrioty polskiego miała jeszcze dwóch potomków. Z pierwszego małżeństwa Antoniego, który liczył sześć lat w chwili poznania się Napoleona z Marją i zmarł w 17 roku życia, wkrótce po śmierci matki. Z hr. Ornano syna Rudolfa, którego prawnuk młody Ornano, bardzo waleczny i dzielny oficer w wojnie ostatniej, przyjechał z armją Hallera do Warszawy w poszukiwaniu rodziny prababki. Przyjęty był z całą serdecznością przez kanońską Walewską.

JULJUSZ WIRSKI

Z CYKLU „PRYMITYWY“

*Nigdy ja Ciebie nie widział i nigdy już nie zobaczę:
Słońce mi Ciebie wyśpiewa, wicher mi Ciebie wypłaczę...*

*W żadne wieczory najcichsze i w żadne nie przyjdiesz noce:
Księżyc Cię wygra srebrzyście, gwiazd lśnienie wymigoce...*

*W pachnące świtę nie przyjdiesz, ani też w złote południa:
Jabłoń o Tobie zakwitnie, deszcz załka w szare dni grudnia...*

*Nigdy ja Ciebie nie widział i nigdy już nie zobaczę:
Słońce mi wszystko wyśpiewa... wicher o Tobie zapłaczę...*

* * *

*Nie znam łąk takich, dziewczyno, puszystych nie znam kobierców,
Po których mogłabyś chodzić: chyba po moim sercu...
Dawno jest ono szkarłatne, dawno się kornie ściele;
W snach moich, smutkiem pijanych, zakwitasz śmiechem i bielą.
Na drogach moich krzyżowych stajesz i cicho coś nucisz,
I wiem, że postokroć odejdiesz, i wiem, że jednak powrócisz!
A będzie serce już inne: zabite będzie i siwe
i, klęcząc, nóżki Twe małe osnuje szkarłatnem przedziwem...*

JEDENAŚCIE DNI NAD MORZEM



atrzę na szeroki horyzont, rozpościerający się przed moim oknem w Warszawie: niebo — koloru zachmurzonego morza, — daleka, zielona płaszczyzna ratuje przed wrażeniem zamknięcia w pudełku. Ręce moje i twarz zaczynają tracić barwę piernika, którą obdarowało je słońce i wicher Pomorza.

Jedenaście dni nad brzegiem szumiącej taflí wodnej, otwartej w nieskończoność ku północy.

Jedenaście dni życia bez myśli, kojarzeń, syntez, analizy, kombinacji, przewidywań, wahań, decyzji, wątpliwości, powikłań — jedenaście dni duszy, otwartej chłonną i niemal poddańczo na nowość, na nieznaną, na wszystkie, wielkie i drobne wrażenia od rzeczy i zdarzeń, od przedmiotów i ludzi, od chwili roślin.

Jedenaście dni bycia — wyłącznie zwierciadłem, w którym odbija się świat. Zaciekawione i bez troskie percepcowanie, swobodne, nieobowiązuje.

Jedenaście dni szeroko patrzących oczu, uszów uważnych, czującej skóry i wrażliwego nosa — jak gdyby wie-rzei jestestwa, na oścież rozwartych na przyjęcie świata. Powietrze, słońce, ciepło i zapach przelewają się przez istotę ludzką, posłuszną wrażeniom.

Odlot od wszelkich spraw. Dziwna naiwność i jak gdyby szczebiot wewnętrzny wobec tego, co się naraz objawiło. Mówienie i myślenie o najprostszym, prymitywnym, niemal fizycznym i ogólnie dostępnym.

Jasność, zieloność, pagórkowatość i różnorodność Pomorza działa, jak czarująca niespodzianka.

Niczem są opisy wszelkie i opowiadania, — słowem, to, co się wie, trzeba samemu doświadczyć i po swojemu rzeczy te odczuć, aby doznać, czym jest ten mały kawałek ziemi polskiej nad Bałtykiem.

Ludzie jadą po zdrowie w dalekie światy, ależ ono jest siłą i zdrowiem.

Ludzie jadą po słońce, ależ tam jest koralowo-srebrna jasność.

Ludzie jadą po wypoczynek — ależ tu w pogodzie, bez troski i dziwnej lekkości ucieka z nas znużenie, smutek i pajęczynna wrażliwość nerwów.

* * *

Gdy gorący dzień stanie nad Bałtykiem — niebo i morze mają kolor najcudniejszego lazuru, przyciszonego pylną srebrzystością.

Przed Gdańskiem o wczesnym ranku wytężony wzrok dostrzega z okien wagonu wodną wypukłość srebrną, na której zda się leżą uniesione nad poziomem ładu żaglowce.

To morze.

Przez całą dalszą półgodziną drogę do Gdyni — zjawia się ono i znika, jak złudzenie, jak miraż nieuchwytny.

Gdy z koralowego dworca Gdyni, witającego nas polskim europeizmem, nowoczesnością, logiczną i wy-

godną budową, oraz opalonymi twarzami letników, wychodzimy na „miasto” — pierwsze spojrzenie chwyta błysk morskiej żrenicy, — potem płynącą jakby od niej jasność błękitną świata.

Jasność, niebieskość i złotawa-srebrzystość, — na niej plamki koralu i siwo-zielone liszaje traw i drzew. Pogoda. Radość. Zdrowie. Bez troska. Wyciągnięte ramiona lata, witające.

Trochę wydmuch. Trochę pustka. Dużo „początku”, zapowiedzi, zaczynania się. Liche domki i wspaniałe hotele i wille.

Ale nadewszystko snuje się to nowe, nieznane, poraz pierwszy mające być zobaczonym. Wielka perspektywa pierwszych wrażeń — ciągle zaczynanie, ciągle wiązanie zadzierzgnięć i mierzenie się ze światem konkretów.

Po bezsennej nocy, pobudzeni jasnością, słońcem, powietrzem morza, czy też chciwością własnej ciekawości, rozpoczęliśmy wędrówkę, która zapełniła nam dnie, wzmocniła mięśnie, przewietrzyła płuca, skrzepiła nerwy.

Poznaliśmy kawałek tego ślicznego kraju od Gdańska po Hel, świadomie czy nieświadomie tak nazwany, a tak jasny.

Hel o malutkich domeczkach, jakby igraszkach z kart; o domkach z bajki, czy dziecinnego snu. Po obu stronach głównej ulicy stoją te domidła komicznie przysiadłe, jak staruszki z rękami, złożonymi na brzuskach — i mają w sobie coś z ciepła, sędziwości, gderliwości i pocziwej troskliwości babci. Przechodząc mimo nich powzięłam wątpliwości, czy człowiek dorosły zmieściłby się w tych drzwiach niedużych, o górnej połowie otwartej, tworzącej okno.

W tych drzwiach wystawać muszą i ślicznie plotkować ich stare i młode gospodynie, czyniąc z miasteczka jedną wielką rozgadaną i swarzącą się izbę.

Za temi drzwiami, nieodmiennie, widać malutki hall, przystrojony w kredens i conajwspanialsze fajanse rodzinne. Po obu stronach hall'u — pokoiki. Te to pokoiki prawie w każdym domku są do wynajęcia. Tu mieszka się naprawdę. Tu ciepły cień ogarnia powracających z niemierzonych obszarów morza.

Domki siedzą jedne przy drugich, tuż, ciasno i ściśle tuląc się do siebie, jakby w trwodze przed jesieniami burzami i mrozami zimy. Wtedy fale morza podrzucane przez szalejące nad Helem wichury, przeskakują przez najwęższą jego część w okolicach Wielkiej Wsi. Grozą mierzei odcięciem od pnia lądowego.

Życie jest trudne dla rybaków, zamieszkujących ten rzucony w morze długi sierp. Uboga, piaszczysta ziemia rodzi tylko wrzosa, paprocie. Lasy zasiano. Wzmocniono krzewami, kołkami, płotami wydmy. Tylko morze jest wielkim polem, z którego zgarniają żniwo sieci rybackie. W zatoce dziesiątki kutrów i łodzi leżą, tworząc śniący o przestworach port. Na północno-zachód rozpościera się Wielkie Morze.

Widziane przez mgnienie czterech godzin życie, Helu pozostawia wspomnienie bajki i teatru, zapewne dzięki temu, że scenerja jego jest tak bardzo odmienna od zwykłych nadmorskich wiosek.

Przedewszystkiem — owa dziwna uliczka, nie-spotykana, do niczego niepodobna, jakby naumyślnie, na niby, przez dzieci w zabawie wybudowana. W niej środkiem, nieduże drzewa rzucają smugę zielonego cienia, dodając jeszcze zaciszości. Uliczka dla pieszych chyba — po takiej się nie jeździ. Tu ludzie mogą zajmować się tylko cichymi, starymi zajęciami, — tu z załomu do załomu, z dachu na dach, z okna

do okna sypie się szmer bajki i snuje się niewidzialna pajęczyna, podobna do sieci rybackich.

Ryby — wędzone — zalegają pudła przed domkami. Jedyne bogactwo na sprzedaż: płaskie, upodobnione piaszczystemu dnu flondry i ślizkie, długie, zwinne węgorze, spływające z rzek do morza na tarło. Podczas tych rybnich godów chwyta je człowiek¹⁾.

Jest cała skala odmian sieci. Widziałam w Gdyni żmudną czynność przywleknięcia sznurami wielkich sieci, zarzuconych o kilkadziesiąt metrów od brzegu, jako zasadzka na drobne ryby. Na wybrzeżu Helskiego przylądka suszą się duże kosze, uplecione ze sznurów. W Orłowie codziennie prawie, rozsute pomiędzy żerdziami czerwienieją delikatnie, ni to tkanina pajęcza, z wodorostów krasnych (krasnorostów) plecione, sieci.

* * *

Strome zbocza o różnobarwnych pokładach z epoki przed i po — lodowcowej; wielkie głazy granitów i porfirów, przywleczone przed wiekami z północy; roślinność specjalna, przystosowana do słonych piasków, wytrwała, odporna i przemyślna, utwierdzająca się w gruncie długimi nitkami kłaczów, gromadząca zapasy wilgoci w grubych liściach, osłaniająca się nalotem wosku przed osuszającym słońcem, — pyszne kępy, hojną, królewską dłonią przyrody rozsianych po wąwozach i wzgórzach żarnowców, złote na wiosnę, w jesieni ciemne od czarnych i jedwabistych strąków, — nieliczne muszelki, pomieszczone w piaskiem; wyrzucane przez fale, różowe meduzy; kamienie, obrosnięte włosami zielenic — i wciąż przez fale oplukiwane — to „przyrodnicza” treść morza. Treść, ujęta wrażeniem, poznana raczej estetycznie, niż naukowo.

Naukowo bada ją morskie laboratorium rybackie na Helu, instytucja państwowa, kierowana przez prof. Kazimierza Demla, dostępna do zwiedzania dla przyrodników. Ciekawy, umiejętnie i starannie prowadzony posterunek naszej nauki, pierwsza maczka polskiej wiedzy badawczej wyciągnięta ku morzu, pracująca intensywnie, acz małymi środkami. Placówka ta ma już wiele do powiedzenia i do pokazania z dziedziny okazów biologicznych, wyłowionych morzu, posiadającą opinię ubogiego w żywiznę. Ciekawe jest ono jednak bardzo ze względu na pstrokaciznę warunków, które pomimo pozornej jednolitości przedstawia, tworząc w związku z nimi różnorakie, w bliskim sąsiedztwie ze sobą żyjące, „kępy” istot żywych²⁾.

* * *

— Prawa biologiczne rządzą mocno człowiekiem. podobne warunki wyprowadzają na świat podobnych ludzi. Suche, nieco gorzkie twarze, badawczo i podejrzliwie patrzące oczy rybaków naszego brzegu, ich równo ścięte brody — tworzą typ, pokrewny rybakom Holandji i Belgji. Ten sam ciężki spokój, powolność ruchów, cierpliwość i brak wszelkiej pośpiesznej uprzejmości. Małomówność i rozważa.

Takimi się wydają z krótkiej i szybkiej obserwacji.

Zresztą w pośpiesznej i próbnej wędrówce jedenastodniowej widzieliśmy ich mało. Widzieliśmy brzeg polski w porze lata, gdy staje się koczowiskiem ludzi z miast. Opanowują go oni, odsuwając w cień rdzennych mieszkańców, oddających siebie i swe domy

¹⁾ Bałtyk posiada kilkadziesiąt gatunków ryb, z tych 36 miejscowych, pospolitych.

Patrz Kazimierz Demel: „Ryby Bałtyku Polskiego” 1924 r. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

²⁾ O przyrodzie Bałtyku wyszła w roku bież. piękna książeczka Stanisława Karczewskiego, p. t. „Brzegiem Bałtyku” nakład Gebethuera i Wolfa.

(za dużą cenę) na usługi tej falangi czasowych zdobywców.

Po plaży Helu, szerokiej, o ślicznym, złotym piasku i niebezpiecznych, głębokich tuż przy brzegu przepaściach, płaskiej i jednostajnej, wygodnej i wspaniałej — brzeg od Zoppot do Gdyni uderza szczególnym, swoistym urokiem.

Na waziutkim skrawku, darowanym przez morze, grzeją się, biegają, gimnastykują, cieszą i opalają ludzie wszelkiego wieku. Dzieje się to u podnóża wzgórz, pod osłoną wysokiego, urwistego zbocza, pokrytego piękną roślinnością.

Panuje tu beztroskie używanie wody, powietrza i słońca. Ciała, prawie nagie mają piękną barwę brązu. Stają się jędrne i gibkie, zwinne i muskularne.

Dla ludzi „modnych“ zaplanowuje tu konwenans nagości. Przystają się jej wstydzic — nad brzegiem morza — i tak zdrowo zdają się być zaabsorbowane nowymi wrażeniami: słońcem, powietrzem, wodą — bezpośrednim z przyrodą kontaktem, — że wyglądają na nową, lepszą, przyszlą rasę ludzką.

Tem zgrzytliwiej, mocniej i ostrzej uderzył mnie kontrast; a rzecz przecież zwykła, codzienna: groma-

da robotników w Gdyni, przy torze kolejowym po pracy czekających na pociąg,

Są to kopacze torfu, czy też pracownicy portowi. Nie znać na nich ani lata, ani wpływu morza, ani działania słońca. Są bladzi, zmęczeni, o znużonych, zwiotczałych członkach. Brudni i źle odziani.

Po tamtym obrazie beztroskiego użycia — ten jest „bardzo dziwny“. Uderza, jakby nowa prawda. A przecież — codzienna.

* * *

Leżę na wielkim głazie czerwonego granitu nad samem morzem. Fale jego uderzają w wiecznym powrocie o kamień. Wznoszą się i opadają. Nad morzem polatuje mewa — ta sama pewnie, której delikatne palce zostawiły ślad na wilgotnym piasku wybrzeża.

Jest samotnie. Morze i niebo poraz pierwszy błękitno - szare. Myślę, — po raz pierwszy tu wiem, że myślę.

Odjeżdżam. Odjeżdżam do miasta, gęstego od spraw, od ludzi, od zabiegów. Gęstego od zdarzeń, zagadnień, uczuć; tłoczego i ciasnego od wiru żyć, które są jego drobinami rozfalowanemi. Miasto jest morzem.

N. Samotyhowa.



PAOLO MANTEGAZZA

12

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

„Ale i to wszystko nie jest dowiedzione, w medycynie nie wiemy nic pozytywnego. W medycynie wszystko da się obronić, i wszystko da się potępić. Mogłbym panią leczyć, zakopując w ziemi, aż po szyję i co dzień zmieniając miejsce — od maja aż do października. Byłaby to metoda dziwaczna, lecz nie nowa. To właśnie zalecał Solano da Lague, jako *banos de tierra*.

„Niektórzy uznają w medycynie rzeczy nowe za prawdziwe; jest to wygodny system: czas daje się łatwiej zmierzyć, niż nauka. Proszę spojrzeć: nie tak dawno śmiano się z pospolitego przesądu, że suchoty są zaraźliwe, obecnie zaś przyznajemy znów rację starożytnym. To powrót mody, parabola prawdy. Pliniusz młodszy...

Przysięgam ci, mój Williamie, że nigdy nie złożyłam bardziej swej pamięci (którą ty nazywasz fenomenalną) niż owego dnia, gdy siedząc naprzeciw tej maszyny mówiącej, jaką jest doktor T... byłam skazana na wchłanianie w siebie całej owej litanji, z której nie mogłam zapomnieć ani jednej nazwy, ani jednego słowa.

Na cóż służy cała ta erudycja, skoro, po takiej torturze mózgu, nie zyskuje się choćby jednej prawdy użytecznej? Gwoli czemu owa wiedza bezpłodna i skostniała, jeśli nie daje jakiegokolwiek pociechy, lub nadziei, jeśli dochodzi do wniosku: nie wiemy nic, nic niema pewnego?

Wybacz mi, mój drogi, że ośmielam się sądzić naukę sercem kobiety, lecz zawsze uważałam za fałszywe drogi, niewiodące ku szczęściu, bądź wprost, bądź przez labirynt. Człowiek pragnie nadziei, lub radości, wszystko poza tem jest rzeczą próżną. Nawet najwznioślejsze religie obiecywały zawsze człowiekowi wieczystą szczęśliwość wzamian za ofiary lub w nagrodę za cnotę, nawet w kodeksie moralności oraz najpotężniejszym ze wszystkich — opinii publicznej cnota i sława stanowią wyniosłą postać szczęścia. A człowiek najdoskonalszy to taki, co uszczęśliwiając niezmierną ilość bliźnich, daje też i sobie samemu szczęście...

Lecz powracam do swego doktora. — Wyczerpawszy posiadane zasoby geografji medycznej, dodał:

„Widzi więc pani, że niewiele można mieć nadziei i wiary w skuteczność klimatu. Jest to raczej kwestja gustu, niż nauki. Jeśli wreszcie woli pozostać pani w Londynie, będę panią leczył i postaram się wyleczyć. Zna pani z pewnością przysłowie: „Niech czyni każdy co może, Pan Bóg mu dopomóż! Choremu potrzebny jest lekarz: jeżeli pani pragnie, bym był jej lekarzem, mogę powiedzieć, bez zbytecznych obiecanek, że nie jestem gorszy ani lepszy od innych. Mam jedną tylko pretensję: mówić zawsze prawdę, nie okłamywać nikogo... Oto wszystko.“

Wiedziałam o tem więcej, niż mi było potrzeba... Podziękowałam, zapłaciłam i poszłam do domu, zmęczona, smutna, lecz pełna błogiej pewności, że ostatnia część Kolwarji, jaka mi jeszcze pozostała, nie mogła być z pewnością gorsza...

Emma do Williama

Londyn, 8 lipca 18...

Drogi Williamie, wizyta u doktora T... zmęczyła mnie tak bardzo, że musiałam odpocząć przez dwa dni, zanim przedsięwzięłam ostatnią podróż w krainę medycyny. W ciągu tego czasu mogłam jedynie rozmyślać melancholijnie nad sztuką, uzurpującą sobie dumną nazwę uzdrowicielki ludzi Boże mój, ileż pychy w tych słowach!

Jakkolwiek starałam się złagodzić swój sąd oraz niechęć do obu odwiedzonych lekarzy, nie mogłam znaleźć ani jednego słowa pobożania dla medycyny i jej kapłanów.

Napisano już historję magji i, jak się zdaje, pochowano ją pod głazem średniowiecza, lecz sądząc stanowczo, iż pozostała do napisania ostatnia karta tej historji, a mianowicie dzieje medycyny. Od Sybilli kumejskiej do cyganichy, od aleopatji do homoeopatji, od wyroczni delfickiej do chiromancji i do medycyny czyż nie istnieje tu hierarchja naturalna przesądu, mistyfikacji, magji?

Obawa śmierci zrodziła wiele przesądów, nie mogłaż więc wytworzyć też i medycyny? Pomiedzy doktorem B... chcącym mnie uśmiercić, by dowieść głębokiej wiary w swoje przekonania, a doktorem T... który, przed rozpoczęciem leczenia, kazał mi konać pod lodowemi górami bezpłodnej erudycji, nie widziałam jakiegokolwiek miejsca dla medycyny — nauki i pocieszycielki, nie będącej ani fanatyzmem ani zaprzeczeniem wszystkiego.

Otóż myliłam się, drogi mój Williamie, i to miłe odkrycie uczyniłam w ostatniej części swej pielgrzymki, podczas wizyty u doktora Hang...

Dziś właśnie byłam u niego i powróciłam taka pogodna i odświeżona, jak z przechadzki w pole, z którejbym przyniosła naręcza kwiatów i ziela, niewiedzącego listowia i aksamitnych ruchów. Och, jakimż drogim przyjacielem okazał się doktor Hang...

Po chwili siedziałam już obok niego. Nie odezwał się do mnie, a tylko skinał głową, a potem uśmiechnął się. I uśmiechał się w dalszym ciągu, lecz coraz to inaczej. W uśmiechu tym było i zapytanie, i zachęta, i nadzieja. Cały ogrom rzeczy — bez słów.

Jak uczułam się odrazu ekspansywna! A jednak mówiłam niewiele, bowiem on rozumiał mnie natychmiast i tym pełnym wymowy uśmiechem skłaniał do pomijania spraw długich i nudnych. Ja zaś, ciągnąc smutną opowieść o swych cierpieniach, byłam tak podniesiona na duchu tą jego życzliwą uwagą, że wcale nie czułam przykrości.

Powiem ci coś o doktorze Hang...

Ten człowiek z pewnością nie jest Anglosasem, ani Brytyjczykiem, to kropla krwi romańskiej, zabłąkana pośród mgieł Anglii. Włos kruczyny i gęsty, wysokie czoło i orli nos, skóra ciemna, na twarzy odbicie długoletnich badań, lecz rysy ruchliwe, chwilami drgające lekkim skurczem.

Odczytawszy uważnie diagnozę mojej choroby, postawioną przez swych poprzedników, zadał mi kilka pytań, przysunął na krótką chwilę głowę do mej klatki piersiowej i zaraz potem, nie dając mi czasu na jakiegokolwiek niepokoję, nie siadając nawet, zawołał dość gwałtownie:

— Och, rzecz nie jest poważna, całkiem niepokojąca, pani wyzdrowieje, z pewnością wyzdrowieje...

I jak gdyby wykonawszy najgłośniejszą i najbardziej trudną część swego zadania, rozsiadł się wygodnie w fotelu, odetchnawszy głęboko, potem uszczknął listek laura i jął go skubać palcami, wciągając namiętnie jego silny zapach.

— Tak, łaskawa pani, wyleczymy się i to prędko. To jest najważniejsze, co mam pani do powiedzenia, bowiem ufna niezachwianie w wyzdrowienie, winna pani w spokoju i pogodzie dążyć doń. Jak mi się wydaje, posiada pani wiele siły woli, wiele z owych skarbów ducha, których nie można nabyć za pieniądze ani zdobyć, niestety, nauką, a które oszczędzają i nam i innym niemało cierpień. Proszę więc usunąć natychmiast z siebie to wszystko, co jest wytworem obawy, niepokoju, niepewności jutra, a potem, a raczej zaraz, wyjedź pani na Maderę, na Maderę nie gdzieindziej...

— Otrzymałam właśnie od jednej ze swych pacjentek, bawiących już pięć miesięcy w Funchalu, list, który mnie bardzo ucieszył.

— Znam wiele wymownych przykładów wyzdrowienia z cięższych przypadłości, niż pani, dzięki pobytowi w owym rajskim ogrodzie, co się zwie Maderą. Gdy się pani zdecyduje na wyjazd, wypiszę odpowiednie polecenia, gdyż będzie leczyła się pani sama w Funchol, i dołączę list do pewnego wybitnego lekarza, mojego przyjaciela.

— Ach, a propos... Proszę nie jechać sama na Maderę, wówczas trudno będzie wyzdrowieć. My mężczyźni jesteśmy dość egoistami, by wystarczać sami sobie: silne przywiązanie do życia zastępuje nam towarzystwo, zastępuje nam wszystko. Ale wy, córy Ewy, same, umieracie na spleen nawet pod czarodziejskiem niebem Funchalu... Pan Bóg stworzył was na towarzyski mężczyzn i nie potraficie same upajać się szczęściem...

Uśmiechem i gestem mówił doktor Hang... więcej jeszcze, niż słowem, i kiedy się zobaczymy, postaram się powtórzyć ci całą naszą rozmowę, tak słodką i drogą. Wzbudził on we mnie tyle zaufania, że ośmieliłam się w końcu zapytać go o sprawę najważniejszą.

Czerwieniąc się raz po raz zapytałam się, czy, wyzdrowiawszy będę mogła bez obawy i bez skrupułów wyjść za mąż i mieć dzieci, nie narażając ich na chorobę piersiową...

Uśmiech zniknął nagle, lecz na krótką chwilę, z oblicza doktora Hang..., poczem zjawił się ponownie, ale jakby pozbawiony owej serdecznej dobroduszości, która była mi dotychczas tak wielką pociechą.

Ja, com śledziła z natężoną ciekawością i z coraz to większą życzliwością każdy ruch tego człowieka, ujrzałam chmurkę, przesłaniającą na jedno мгновение słońce jego wesołości, zauważyłam nagle, że moje pytanie obudziło w nim jakieś smutne wspomnienie.

Westchnął lekko i rzekł nie bez wzruszenia:

— Och, czemu nie? Gdy poprawa uczyni znaczne postępy, kiedy odzyska pani siłę... Musisz mieć, pani, serce pełne uczuć gorących i wspaniałomyślnych, żeś skierowała do mnie takie pytanie. Wszyscy, będący w podobnych warunkach, powinni by podobnie czynić, lecz zapominają o tem często... W każdym razie czas jeszcze na stanowcze rozmowy, z pewnością nie myśli pani o małżeństwie ani dziś, ani jutro... Byłoby to nierozwaga. Trzeba zająć się wyzdrowieniem, chciej pani wyzdrowieć i wyzdrowiejesz.

Wstałam wzruszona, zdecydowana wyjechać, na Maderę.

Nie piszę ci już nic więcej. Nakazaliśmy sobie wzajemnie osiem dni rozłąki i termin wkrótce upłynie. I wówczas stanę przed tobą, dumna z wielkiej ofiary, poniesionej z miłości ku tobie, i powiem głośno: twoja Emma skłonna jest wyjechać na Maderę i nie widzieć cię przez miesiące a może i lata, gdyż chce ci być we wszystkim i zawsze posłuszną, gdyż żyje tylko dla ciebie, a poza tą miłością widzi tylko beznadziejność i śmierć.

(c. d. n.)

GARŚĆ WSPOMNIENI Z R. 1863

(Opowiedziała dla wnuków Izabela z Sucheckich Kuncewiczowa)

2

Dojeżdżając do wsi Geś, spostrzegłam rozstawione posterunki rosyjskie. Zabrano mię do wójtostwa, gdzie mieszkał oficer posterunkowy, dla sprawdzenia dowodów osobistych. Papiery miałam w porządku, więc zdziwiłam się bardzo, gdy oficer, zabrawszy mój paszport, wyszedł i dłuższy czas nie wracał. W trakcie mego oczekiwania na zwrot dokumentu, umożliwiającego dalszą drogę, wprowadzili jakąś płaczącą panią. Jakież było moje przerażenie, gdy w niej poznałam swoją matkę!

Udałam, że jej nie poznaję, dając tem do zrozumienia, że powinnyśmy odegrać rolę zupełnie obcych sobie, więc zamknięte w jednej stancyjce, pod strażą żołnierzy, udawałyśmy nieznajome.

Nadszedł wreszcie oficer, lecz mimo moich nalegań, że już późno, a ja muszę jechać, nie zwracał mi paszportu.

W izdebce zaczęło się robić duszno; matka zdjęła futro, a wtedy błysnęła mi myśl, którą niezwłocznie skuteczniałam, zdjęłam swoje, kładąc je obok okrycia matki, a gdy w końcu zwrócono mi paszport i zbierałam się do drogi, zamieniłam salopy. Zostawiłam swoją popielatą, a zabrałam matki czarną, gdyż wiedziałam, że w niej zaszyte były ważne papiery Rządu Narodowego, które miały być doręczone wiadomym mi osobom.

Cieężko mi było zostawić matkę samą, ale rozumiałam, że musimy zachować incognito, gdyż trzeba było zaraz poinformować ojczyma o tem, co zaszło, i wyprowadzić go tem rychlej do Krakowa.

Potem dopiero dowiedziałam się od tegoż posterunkowego oficera, że chłopci, którzy nas znali, zdradzili, że aresztowana pani jest poszukiwaną właśnie p. Falkowską, a panią — jej córką. Nadmieniał również, że doskonale widział zmianę futer i że od konsekwencji tego czynu broniła mię moja młodość i niedola.

Matkę odwieziono do więzienia w Radzynie, gdzie kobiety lokowano w piwnicach pałacu Ślubowskich, zajętego na biura i mieszkania urzędników. Z matką dzieliła więzienie młodziutka kobieta, żona obywatela (nazwiska jej nie pamiętam), córka pp. Krasuskich, o których dalej wspomnę. Aresztowano ją, gdyż przy rewizji we dworze znaleziono bieliznę przygotowaną dla powstańców; za ten czyn zbrodniczy goniono ją trzy mile piechotą do Radzyna i po drodze bito nahałkami. Małe jej, kilkumiesięczne dziecko, przygarnięte wraz z niańką przez jakiegoś litościwego urzędnika, przynoszono trzy razy dziennie do więzienia, aby je mogła nakarmić.

W Radzynie dowiedziałam się o szczegółach aresztowania mojej matki. Otóż, po otrzymaniu paszportów zagranicznych, postanowiono zaraz następnego dnia wyjechać. Matka, obawiając się, że ja nie zdążę przywieść rzeczy, sama wybrała się po nie do Planty, chcąc jednocześnie odwieźć zaszyte w salopie papiery. Gdy zbliżyła się do wsi Geś, zobaczyła kozaków, kazała więc furmanowi skrócić w las i uciekać, co koń wyskoczy. To ją zgubiło! Kozacy dopędzili i odstawili na posterunek do oficera, gdzie, jak już opowiadałam, nastąpiło nasze smutne spotkanie.

W Radzynie główną osobą przy badaniu więźniów-powstańców był pułkownik Borozdin⁴⁾. Znany on był ze znęcania się nad bezbronnymi. Przy badaniu jednego z okolicznych obywateli, p. Krasuskiego,

rzucił mu kalamarzem w twarz, tak że wybił przednie zęby; sama widziałam wiezionego po indagacji z powrotem do więzienia powstańca na taczce i krew z niej ściekała.

Aby się zemścić na matce mojej, chciał mnie koniecznie uwięzić, matce bowiem przypisywał autorstwo krążącego wierszyka, którego każda strofka kończyła się refrenem „Borozdin sukinyś”. Aby dopiąć celu, namawiał jakiegoś chłopca do zeznania, że mnie widział rozwożącą broń powstańcom. Gdy jednak przy konfrontacji tupnęłam nogą dla rezonu i krzyknęłam ostro: „Pamiętaj, że pod przysięgą w obliczu Boga skłamięś” — chłop zdetonował się i oświadczył: „że dokumentnie nie pamięta, czy mnie w lesie widział, bo różne panienki broń tam wożą”. Skończyło się na posłaniu matce do więzienia papieru i ołówka, aby się nie nudziła i „stichi”, wiersze, pisała.

Matkę wywieziono wkrótce do Siedlec, a mnie zabrali na święta Bożego Narodzenia znajomi nasi, pp. Cieplińscy, z pod Wołynia.

Po świętach wyjechałam do Siedlec, aby starać się o ulżenie doli matki. Miasta nie znałam, hotele były przepełnione wojskowymi Rosjanami, a znajomych nie miałam zupełnie, słyszałam tylko, że żona właściciela apteki, p. Paulowa, jest osobą niezwyklej zacności i do niej udałam się po radę. Kiedy opowiedziałam jej wszystko szczerze i wyjawiałam cel przybycia, będąca jednocześnie w aptece jakaś pani w żałobie zwróciła się do mnie z przestrogą, że wiek mój młodociany nie pozwala na zamieszkanie w hotelu, gdzie mogłaby mnie spotkać niejedna przykreść ze strony moskiewskich oficerów, zaproponowała mi też narazie gościnę u siebie. „Ja wyjeżdżam za parę dni z córkami na stały pobyt do Warszawy, ale przez ten czas coś wspólnie obmyślimy”. Tą zaczął moją opiekunką była p. Płużańska, wdowa po urzędniku gubernialnym; jedna z jej trzech córek, p. Natalja Porazińska, znaną była w kraju, jako przełożona renomowanej pensji w Warszawie.

P. Płużańska zapoznała mnie z rodziną Żukowych, u których po jej wyjeździe zamieszkałam. Pan Żukow, oficer-emeryt, dobry człowiek, ale nałogowy pijak, ożeniony był z Polką, która jedyną córkę Annę wychowywała w duchu polskim, na gorącą patrijotkę. Z nią zaprzyjaźniłam się bardzo.

U pp. Żukowych poznałam młodego oficera armji rosyjskiej, Płatonowa, ta znajomość przydała mi się w przyszłości, gdyż stryj był w Petersburgu ministrem do spraw Królestwa Polskiego.

W tem miejscu muszę dać parę sylwetek ludzi, odgrywających wielką rolę wówczas w Siedlcach; od ich woli i humoru zależał los niejednego powstańca.

Gubernatorem siedleckim w owe czasy był generał Maniukin⁵⁾, nie człowiek, lecz dzikie zwierzę; krążyły legendy o jego strasznych, wprost nieludzkich czynach. Miasteczko Siemiatycze spalił doszczętnie. Wszystkim, którzy musieli zwracać się do niego

⁴⁾ Borozdin, Michał, syn Teodora, pułkownik, dowódca 4-ej baterji w 5-ej brygadzie artylerji, był przewodniczącym komisji śledczej w Radzynie.

⁵⁾ Maniukin, Zachar syn Stefana, generał lejtenant, dowódca 2-ej dywizji piechoty, był nie gubernatorem siedleckim, lecz naczelnikiem siedleckiego oddziału wojskowego (quasi gubernatorem wojskowym).

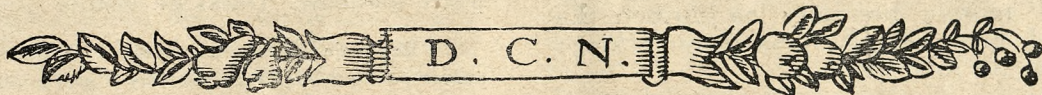


w sprawach osobistych, maltretował bez litości. Między innymi znany był fakt zwierzęcego obejścia się z obywatelką p. Krasuską (jej to córka była towarzyszką matki mojej w więzieniu w Radzyniu), która przyszła prosić o pozwolenie widzenia się z uwięzionym mężem i synem. Dnia tego Maniukin był w złym humorze, więc w odpowiedzi kopnął petentkę nogą, aż spadła ze schodów i krzyczała: „Poszła won, ty żyrnaja swinja“ (idź precz, ty tłusta świnię). Postrachem dla otoczenia był widok odrzuconej na tył jego głowy czapki — generał był kiedyś ranny w głowę i gdy blizny mu dokuczały, zsuwał czapkę, aby go nie uraziła — wszyscy, którzy musieli zbliżyć się do niego w takie dni, przygotowani byli na przykre niespodzianki.

Jedynym jasnym typem był dozorca siedleckiego więzienia, Iwanow, człowiek tak dobry, że niejednokrotnie narażał siebie, aby doli więźniów ulżyć. Z jego dwiema córkami przyjaźniła się Andzia Żukowa i mnie z niemi zapoznała.

Jako przykład niezwykle dobrego serca Iwanowa przytoczę następujący fakt.

Pewnego czerwcowego dnia, gdyśmy z Andzią Żukową i jego córkami mile spędzały czas w ogrodzie więziennym, przyprowadził młodego, 19-letniego powstańca, oddał pod opiekę naszą i pozwolił mu spędzić z nami całe poobiedzie. Bawiliśmy się doskonale i układali projekty na przyszłość. Jakież było moje zdumienie i przerażenie, gdy następnego poranku ujrzałam naszego towarzysza zabawy z dnia poprzedniego, więzionego w asystencji księdza na stracenie!



Iwanow zataił przed nim termin wykonania wyroku i w miarę możliwości osłodził mu ostatnie chwile. W parę godzin po straceniu przyjechała matka biednego skazańca z odroczeniem wykonania wyroku, lecz zastała już swego jedynaka na szubienicy.

Wracam znów do swoich dziejów.

Wkrótce zapadł w Siedlcach wyrok, skazujący matkę moją na zesłanie bezterminowe na Syberję.

W końcu lipca 1864 r. przewieziono ją do warszawskiej cytadeli i osadzono w X pawilonie, aby następnie z całą partją skazanych wywieźć przez Petersburg na Syberję. Za matką pojechałam i ja. Przedewszystkiem zaczęłam starać się o pozwolenie odwiedzenia matki. Poradzono mi, aby udać się w tej sprawie do pomocnika oberpolicmajstra, generała Wołkowa; tak też uczyniłam. Był to człowiek stary 75-letni, świeżo przybyły z Petersburga i nie orjentujący się zupełnie w naszych stosunkach. Na skutek jego indagacji: dlaczego matka uwięziona, dlaczego ja sama czynię starania [u władz i t. d.], opowiedziałam mu szczerze swoje smutne dzieje. Zainteresował się mną tak dalece, że nie tylko dał codzienną przepustkę do cytadeli, ale prosił o nawiązanie stosunków towarzyskich z jego młodą żoną Niemką, która w Warszawie nikogo nie знаła i czuła się tu bardzo obcą. Nie mogłam odmówić. Zostałam przyjęta bardzo mile: p. Wołkowa była ząną kobietą; okazała mi potem dużo serdeczności, a matkę moją opiekowała się gorliwie. On uprzejmość posuwał do tego stopnia, że jadąc sam do cytadeli, zabierał mnie codzień z sobą, aby oszczędzić mi trudu, i wysadza-

przed bramą, aby nas nie widziano wjeżdżających razem.

CZŁONEK RZĄDU NARODOWEGO MARJAN DUBIECKI

(1838 — 1926)

(WSPÓŁPRACOWNIK BLUSZCZU PRZEZ PÓŁ WIEKU).

Osiemdziesiąt osiem lat przeżył, a żywot było pracowity. Kiedy odszedł na dobrze zasłużony spoczynek, zęgało go wojsko, jak wodza. Może jednak nie dosyć uprzytomniono sobie, ile majestatu kryła skromna trumna cichego starca, który wolą ostatnią zabronił, by mów nad grobem jego nie wygłaszano i wieńców nie składano. W jego osobie, żyła wśród nas wielka legenda Rządu Narodowego, którego On był ostatnim członkiem.

Zamało myśleliśmy może o tem, gdyśmy Go mieli jeszcze żywym wśród nas.

Śmierć Jego zamyka wielką epokę, której był bohaterem w młodości, historjografem na starość. Była to epoka pięknych ludzi i ten starzec, biały jak gołąb, był pięknym do ostatka — z surowem spojrzeniem błękitnych oczu, pół najeżonymi białymi brwiami i niezrównaną dobrocią uśmiechu na zwiędłych ustach, z duszą głęboko wierzącą i sercem pełnem miłości.

* * *

Był kresowcem i zachował przez całe życie zapal, liryzm i rzewność, właściwe swej „ściślejszej ojczyźnie“: Wołyniowi — Ukrainie.

Urodził się w Zasławiu, osierocony w dzieciństwie, wychowuje się pod opieką rozumnej, zacnej

i patriotycznej kobiety: Honoraty Sławkówny, ciotki swojej; pamięć o tej pierwszej nauczycielce sprawiła zapewne, że potem w swoich studjach historycznych, Dubiecki nieraz akcentował wpływ matki, wpływ kobiety na psychikę wybitnych jednostek: (matka Warneńczyka, matka Kollataja). Gimnazjum kończył w Żytomierzu, na uniwersytet chodził w Charkowie. Była to epoka niezwykła. Po strasznych, Mikołajewskich latach „niepojęte, przedtem nieznane dreszcze wstrząsały organizmem społecznym... zdawało się, że ogień nieziemski wstąpił do serc i sumień ludzi“. W r. 1860, Marjan Dubiecki, skończywszy uniwersytet, stanął do pracy oświatowej. Jako nauczyciel języka i literatury polskiej w Równem na Wołyniu, wywierał wpływ wielki na młodzież. Była to epoka manifestacji, te wzbudziły represje rządu. Młody profesor miał drogę wytkniętą i nie cofnął się przed żadną ofiarą. Razem z bratem Aleksandrem pracują dalej, organizują wraz z innymi idealistami słynny zjazd w Horodle. Następstwem: aresztowanie, wygnanie — na stępy kipczackie, po dwóch latach powrót do wrącej konspiracyjnym ogniem Ojczyzny.

Wraz z półkownikiem Edmundem Różyckim, gdzie Dubiecki do Warszawy i zostaje reprezentantem Wydziału Rusi przy Rządzie Narodowym.

Przez cały czas powstania, [jest on łącznikiem między swą prowincją a stolicą.

Wypadek sprawił że jemu to przypadł zaszczyt przedstawienia Wydziałowi Wojny Traugutta. Od pierwszego spotkania ci dwaj ludzie powzięli dla siebie sympatje i z czasem młody sekretarz Rusi stał się zaufanym i jedynym powiernikiem Dyktatora. Losy ich sprzęgły się razem, aż do tragicznego epilogu.

Traf tylko sprawił, że nie podzielił on męczeńskiej glorii swego wielkiego przyjaciela. Z piętnastu skazanych na śmierć namiestnik kazał stracić tylko pięciu, poszedł na Sybir, na ciężkie, naprawdę ciężkie roboty.

Silny duch dał przetrwać temu, fizycznie wątłemu człowiekowi poniewierkę i nędzę katorgi (Siwakowa, Darazmi za Bajkałem) tęsknotę wygnania (od 1868: Irkuck). W r. 1878 pozwolono mu zamieszkać w Jekaterynosławiu. Od tej pory wziął się z zapałem do studjów zagłębiając się w przeszłości ukochanej ziemi. Od tej pory datuje się jego współpraca w „Bluszczu“, z jego redaktorką Marją Illicką, żoną kolegi pracy i niewoli, bliską mu ideowo. Oboje byli z tych co sobie wzięli za zasadę: Nil des perandum i łączyli pracę dla przyszłości z tkliwą i szczerą miłością dla nieszczęśliwej a bohaterskiej przeszłości, wieczyści romantycy choć równi pracowitością pozytywistom.

Liczny jest szereg prac Dubieckiego z tej wygnanczej epoki. Dominuje w nim piękna monografia o Kudaku nagrodzona przez Akademię Umiejętności w Krakowie.

W r. 1883 po dwudziestu latach wygnania amnestja ogólna pozwoliła Dubieickiemu osiąść w Krakowie.

Tutaj objął katedrę literatury na kursach dla kobiet, założonych przez dr. Adrijana Baranieckiego i tam wykładał aż do roku 1917.

Podręczniki historii i literatury, wiele szkiców i opowiadań na tle wspomnień własnych lub dziejów ziem kresowych oto owoce tych cichych krakowskich lat. Najpiękniejszym dziełem, to sercem napisana książka o Traugucie, o której wziętości liczne świadczą wydania. Młoda została dusza, choć siwizna bieleła głowę dawnego powstańca. Wbrew tradycji, która mówi, że uczestnicy wielkich walk sceptycznie patrzą na wznawianie ich przez niedoświadczoną młodzież, Dubiecki radował się imprezą strzelecką i błogosławił jej „5-go sierpnia wyszedł wczesnym rankiem ku oleandrom krakowskim skąd wyruszyć miała przez granicę kompanja kadrowa“ (Pomazański: M. Dubiecki, zarys biograficzny — Zamość 1923).

W roku 1919 przybył do Warszawy na zaproszenie Naczelnika Państwa aby wskazać celę w pawilonie X-tym, w której Traugutt był więziony.

Starość miał pogodną, ognisko domowe, ciepłe i pełne słońca. O żonie swej p. Marji z Wróblewskich pisał w r. 1923: „Ona to, troskliwością swoją i pełnem zaparcia się poświęceniem przedłużyła znacznie życie moje“. Skromne, ciche i pracowite było życie Jego do ostatka. Cieszył się i bolał dołą i niedołą Ojczyzny. Nie bez pewnej goryczy jednak patrzył jak znika idealizm, jak mało czci dla świętych wspomnień. Z entuzjazmem młodzieńczym ujmował się za niemi. O siebie nie dbał nigdy. Wola jego ostatnia tenże sam miała styl, co całe życie. Leżeć chciał obok towarzysza lat walki, ostatniego rycerza kresowego: Edwarda Różyckiego. Żadnych mów, żadnych wieńców. Datki na szkołę Ludową. K. Bielańska.

Redakcja „Bluszczu“ w najbliższej przyszłości poświęci jeden numer pamięci wielkiego patrioty i przyjaciela naszego pisma.

Kobieta w Świecie i w domu

ARTYSTKA Z AUSTRALJI

Jedną z najbardziej popularnych artystek pendzla w Anglii jest panna Cumbræ Stewart, rodem z Australji, zamieszkała od lat kilku w Londynie, gdzie przesłiczne jej pastelę uzyskały odrazu wielkie uznanie całego angielskiego świata artystycznego. Panna Stewart, chociaż jeszcze bardzo młoda, nie jest jednakże nowicjuską w swoim zawodzie — obrazy jej bowiem uzyskały już liczne nagrody na wystawach zarówno w jej kraju rodzinnym, jak i w Europie, a zwłaszcza w Paryżu. Pierwsza wystawa jej prac w Anglii wzbudziła odrazu zachwyt powszechny, a powodzenie jej było zapewnione z chwilą, gdy królowa Mary nabyła dla swych prywatnych zbiorów kilka z pośród najpiękniejszych aktów dziecięcych. P. Stewart jest bowiem przede wszystkim portecistką dzieci i wszystkie prawie jej modele są modelami dziecięcymi. Z tego powodu poznała ona bardzo dobrze psychologję dziecięcą i wypowiedziała na ten temat sporo ciekawych uwag w artykule swoim, p. t. „Moje modele dziecięce“, drukowanym w znanym miesięczniku Pearsen's Magazine. W artykule tym opisuje młoda

malarka australijska początki swej kariery artystycznej i swój stosunek do małych swych modeli.

„Gdy mi zadają pytanie: kiedy pani rozpoczęła swoją karierę artystyczną? jestem zawsze w kłopotcie, gdyż trudno mi określić, kiedy właściwie zaczęłam malować. W każdym razie miało to miejsce bardzo dawno, znacznie wcześniej, zanim zaczęłam „poważnie“ studjować malarstwo. Pierwsze moje „obrazy“ były to portrety mego rodzeństwa, robione jeszcze techniką nadzwyczaj prymitywną, później zaś, gdy już miałam jakie takie pojęcie o zasadach rysunku, pierwszymi memi modelami były moje małe siostrzeniczki.

Na nich to nauczyłam się poznawać i zachwycać się pięknem ciałał dziecięcego. Widując je codziennie w kąpiel, podziwiałam nieopisany wdzięk i harmonję konturów zaokrąglonego, pulchnego ciałał. a miniaturowe ich rączki i nóżki, jasne, jedwabiste włoski i rumiane policzki były prawdziwą rozkoszą dla mego oka. Zdaje mi się, że każdy, kto ma choć trochę odczucia piękna, musi się zachwycać dzieckiem, jako najcudniejszym tworem natury. Któż zdoła oddać i wypowiedzieć chociażby to niewysło-



wione piękno karnacji dziecięcej? Mówimy, że ciało dziecka jest miękkie jak aksamit, gładkie jak atlas — czemuż jednak są te wytwory ręki ludzkiej wobec skończonego piękna dziecka?

Jeśli więc obrałam sobie za temat moich obrazów głównie akty i portrety dziecięce, to kierowały mną w tem przedewszystkiem względy natury artystycznej. Muszę szczerze wyznać, że choć kocham dzieci i pochlebiam sobie, iż umiem pozyskać ich wzajemność — to jednak, gdyby wybór zależał od mojej woli, nie obierałabym sobie dzieci jako modeli. Malować dziecko — to zadanie wymagające tyle taktu, cierpliwości i dyplomacji, że doprawdy nie każdy umiałby się na to zdobyć! Gdy się jednak uda ugłaskać i poskromić takiego niesfornego modela, i obraz jest już ukończony, zapominam o wszelkich poniesionych przy nim trudach i wydaje mi się, że warto było podjąć te wszystkie zabiegi.

Nic mnie tak nie bawi, jak gdy taki model mały przychodzi do mnie z całą powagą, by przekonać się naocznie o rezultatach „posiedzenia”. Dzieci mają znać o moich zdolnościach opinię bardzo pochlebną, gdyż chociażby to posiedzenie nie trwało dłużej, niż kwadrans, i chociażby przez cały ten czas model nie siedział ani minuty spokojnie — zdaje mi im się zawsze, że musiałam przez ten czas zdziałać cuda. Naturalnie pierwszym ich odruchem, gdy się znajdują przed obrazem, jest chęć przekonania się dotykającego „czy to jeszcze mokre”, tak, jakby miały do czynienia ze świeżo pomalowanym płótnem.

Niema nic trudniejszego do „upozowania”, jak mały chłopczyk. Wolę malować dziesięć dziewczynek, niż jednego chłopca. Sa oni tak ruchliwi, że jeśli wam się uda utrzymać np. sześciolatniego malca w tej samej pozycji przez dziesięć sekund — wyrażnie sekund, nie minut — to możecie z powodzeniem porzucić karierę artystyczną i zarabiać na życie, jako cudotwórcy!

Bywają jednak i chłopcy anielsko grzeczni, chociażby ten, którego w tej chwili maluję. Jestto prawdziwy bohater. Powiedział sobie, że będzie grzeczny „żeby zrobić przyjemność mamusi” i z całym stoicyzmem dotrzymuje słowa. Siedzi na podjum w kamiennej nieruchomości, ma jednak przytem minę tak ponurą i zrezygnowaną, że mógłby z powodzeniem służyć za model dla bohaterskiego Casabianki na pokładzie płonącego okrętu, „gdy wszyscy prócz niego uciekli przed wrogiem”!

Daleko trudniej jest apelować do próżności chłopca, niż dziewczynki. Nie znaczy to, aby chłopcy nie mieli być równie próżni — tylko że próżność ta jest innego rodzaju. Sześciolatnia panienska jest już małą kokietką i interesuje się tem bardzo „czy jej portret się uda”. Kokieterja chłopca zaś, w tym samym wieku o ile zdołałam dotychczas zaobserwować, polega raczej na wyprawianiu w przeciagu możliwie najkrótszego czasu możliwie największej ilości min, grymasów i skoków, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna małpeczka z ogrodu zoologicznego!

Pozatem dziewczynki mają o wiele lepsze serce i łatwiej jest odwołać się do ich współczucia. Gdy widzą naprzykład, że już poraz setny w przeciagu pół godziny odkładałam pendzle i zbliżam się do nich, by je przywrócić do właściwej pozy, zaczyna im się robić żal „tej biednej pani od portretów”, i gotowe są na wszelkie poświęcenia, byleby mi dopomóc. Chłopcu natomiast jest całkowicie obojętnem, co ja czuję i myślę. Jedynie uczucia, jakie go obchodzą, są to jego własne, jest on zaś z zasady przeciwny sztuce

portretowania, o ile ona go bezpośrednio dotyczy. Prawdziwie męskie poczucie niezależności, połączone z pewnością siebie i czyste brytyjskim wstętem do krępowania swobody jednostki, skłoniło już niejednego młodocianego syna Albionu do opuszczenia mojej pracowni bez żadnego uprzedzenia i bez innej wymówki, jak tylko krótkie zdanie: „Mam już tego dość” — wypowiedziane tonem nietylko uprzejmym, ile stanowczym.

Chłopcy są także, wbrew ogólnemu mniemaniu, daleko skromniejsi i bardzo nieśmiali od dziewczynek. Znam jednego malca, który płakał rzewnymi łzami, gdy matka jego chciała go sportretować z obnażoną szyjką i rączkami. Odczuł to zdjęcie sukienki przed nieznaną panią jako wielką krzywdę, zdwojoną jeszcze faktem, że ta pani chciała go właśnie namalować w takim nieskromnym stroju! Dziś ten sam chłopczyk jest już dużym, bo dziesięcioletnim zgórą młodzieńcem, lubi bardzo swój portret i śmieje się ze swej dziecięcej wrażliwości. Wiem jednak, że tego rodzaju wrażliwość u małych chłopców nie należy bynajmniej do wyjątków.

Ale moje modele niezawsze należą do rodzaju „pozujących do portretu”. Mam i modele „fachowe”, zarabiające pozowaniem na swe utrzymanie. Te są, oczywiście, o wiele łatwiejsze do portretowania, gdyż traktują już pozowanie jako zawód. Nie chodzi im już o „zrobienie przyjemności mamusi”, lecz raczej o „pomoganie mamusi”. Jedna taka mała, może jedenaastoletnia osóбка, przyszła kiedyś ofiarować mi swoje usługi. Matka jej „chodziła na posługi”, ojciec był bezrobotnym, a ona najstarsza z ośmiorga rodzeństwa! Kiedy zdjęła swoją podartą sukieneczkę — jedyne ubranie, jakie miała na sobie — ujrzałam bledne, brudne ciało, nietylko wychodzone, jak szkielet, lecz i zdeformowane przez noszenie na rękach przez cały dzień młodszego rodzeństwa.

Nie mogłam przecież odesłać tego biedactwa do domu! Było to właśnie przed samym moim wyjazdem na wakacje. Wzięłam więc małą ze sobą nad morze i doprawdy nie wiem, która z nas miała milsze wakacje — czy ona, bawiąc się poraz pierwszy w życiu na nadbrzeżnym piasku, czy ja, patrząc jak jej wychudłe ciało nabiera z dniem każdym okrągłych konturów, opalając się od słońca i morskich wiatrów. Moja mała towarzyszka mówi niewiele, lecz twarzyczka jej zdradza wszystkie uczucia lepiej, niż najwyszukańsze słowa.

Takie dzieci, zrodzone w nędzy, są nieraz stokroć ciekawsze, niż malcy wychowani w zbytku i pieśczościach. Przedewszystkiem są one bardziej „dorosłe” i poczytują to sobie za ułudzenie, jeśli się je traktuje jako dzieci. Jest w nich jakieś dziwne połączenie niewinności z powagą i niedziecięcem doświadczeniem życiowym, które nadaje im swoisty urok.

W każdym razie, pomimo wszystkiego, co tu powiedziałam o trudności portretowania dzieci, nie żałuję, że sobie obrałam ten zawód. Dało mi to możliwość zetknięcia się ze światem dziecięcym i poznania tylu kochanych i ślicznych istotek!

Dzieci są przytem takie zabawne! Mają czasem powodzenia niesłychanie komiczne, chociaż ten komicizm jest zupełnie nieświadomy. Raz np. — było to jeszcze w Australji — malowałam właśnie moją małą siostrzeniczkę, gdy jedna z jej koleżanek przyszła ją zawołać do zabawy. „Elsie nie może przyjść” odpowiedziała moja bratowa. „Ciocia właśnie ją maluje”. „Maluje? o, proszę pani, a na jaki kolor?” wykrzyknęła zdumiona młoda osoba.

SPRAWA KOBIECA W HISZPANJI

„Jus Suffragi“ donosi, że w Barcelonie powstał Komitet Kobiecycy dla Reform Społecznych, na czele którego stanęła znana działaczka społeczna hiszpańska, pani Antonia Ferreras. Program działalności Komitetu obejmuje dążenie do reform w następujących dziedzinach:

1. Zniesienie art. 237 kodeksu cywilnego, wzbrańającego kobietom wykonywać obowiązki opiekunów, a przez to stawiającego je na równi ze złoczyńcami, zbrodniarzami i t. d.

2. Zniesienie art. 1263 tegoż kodeksu, który nie dopuszcza kobiet do stawiania przed władzami w charakterze świadka narówni z małoletnimi i upośledzonymi umysłowo.

3. Dopuszczenie kobiet do wykonywania praw opiekuńczych nad dziećmi z poprzedniego małżeństwa w razie powtórnych zaślubin.

4. Przyznanie kobietom zamężnym prawa do rozporządzania własnym majątkiem oraz zapracowanymi przez siebie pieniędzmi, etc., etc.

Specjalną uwagę poświęca Komitet reformom kodeksu katalońskiego, obowiązującego w prowincjach katalońskich. Kodeks ten ogranicza do tego stopnia prawa cywilne kobiet, że usuwa całkowicie od spadku nawet żonę po śmierci męża. Jedynie w razie sporządzenia przez męża testamentu na korzyść żony, może ta ostatnia otrzymać część majątku (całości zapisywać nie wolno), na wypadek zaś, gdyby mąż zmarł bez testamentu, całość jego majątku, (choćby powszechnie wiadomem było, że znaczna jego część stanowiła własność żony) dostaje się najbliższemu krewnemu męża z linii męskiej.

Komitet ma zatem, jak widać z powyższego, obszerne i wdzięczne pole pracy przed sobą. Należy przypuszczać, że usiłowania jego spotkają się z poparciem czynników rządowych, w Hiszpanji bowiem, o ile się zdaje, sprawa kobieca zaczyna powoli wchodzić na porządek dzienny. Dowodem tego jest chociażby fakt powołania przez dyktatora Primo de Riverę do plebiscytu za obecnym rządem wszystkich obywateli kraju powyżej lat osiemnastu bez różnicy płci.

Z. B.



TEATR MAŁY:

„Kłątwa“ tragedia Stanisława Wyspiańskiego.

Twórczość Wyspiańskiego jest czemś osobliwym i jedynym nie tylko w historii teatru polskiego. Ta jej odrębność polega na tem, że dramaty Wyspiańskiego są właściwie mówiąc syntezą kilku sztuk, że odnajdujemy w nich elementy poezji lirycznej, tragedji, malarstwa, nawet zdobnictwa, przedziwnie zlane i szarmonizowane ze sobą. Słowo było dla Wyspiańskiego nie istotą, ale częścią jego twórczości, która musiała znaleźć uzupełnienie w barwnej plamie, w rysunku postaci, w rytmie wiersza.

Prostota i pierwotność bohaterskiego czynu — oto co uderzało Wyspiańskiego w poezji greckiej, która stała się wzorem dla jego własnych dramatów. Odpowiednik tej prostoty znajdował Wyspiański w chłopie polskim, którego codzienna znojna praca na roli jest może rzeczywiście najpiękniejszym i najpotężniejszym obrazem zmagania się człowieka z losem i ślepiemi potęgami natury.

W tym okresie jego twórczości kiedy „żył“ tragedją grecką, kiedy upajał się Sofoklesem, narodziła się „Kłątwa“.

Jest to tragedia grecka przeniesiona na grunt polski. Chór, aczkolwiek nie przez cały czas jest obecny na scenie, odgrywa

w niej rolę taką samą jak u Sofoklesa, a postacie są tak ludzkie — tragizm ich tak człowieczy jak ludzkimi wydawali się współczesnym Grekom bohaterowie ich tragedji. Patoś realności uderza tu i tam. Tam Teby, Kolon, tu wieś Gręboszów pod Tarnowem. Tam przedsionek pałacu królewskiego, tu dworek na plebanji, ogródek „zapelniony tykami sterczącymi, z których zwieszają się strzępy suche marniejącego, pnącego bobu“.

Do niedawna obowiązywały w teatrze tradycje Wyspiańskie, ów realizm, który poeta podkreślał tak silnie choćby w opisie dekoracji. Pan Węgierko wyłamał się z pod tego nakazu. W jego ujęciu scenicznym realizm Wyspiańskiego zbladł, stuszczał się na rzecz tego co stanowić ma istotę tej tragedji. Wpłynęły na to zarówno dekoracje jak wysunięcie na pierwszy plan chóru. Trzeba przyznać, że tłum ten był wyreżeserowany po mistrzowski, że nie trace, nic z harmonji i jednolitości był nie masą, ale gromadą ludzi żywych i żyjących, mających indywidualność gestu, czy, głosu. Ten tłum — to bezsprzeczna zasługa pana Węgierko. Mniej godzę się z jego pojęciem Młodej, którą pan Węgierko od pierwszej sceny naznaczył piętnem tragizmu. Może wina to talentu pani Żmijewskiej, nie wiedzieliśmy w jej kreacji owego przeobrażenia duszy Młodej, które przecież stanowi istotę jej tragedji. Bardzo dobrze ujął i zrozumiał księża p. Maliszewski.

Pozatem wymienić musimy panią Kuninę (Matka) Boneckiego (Dzwonnik) Serwińskiego (Parobek) i p. Życzkowską (Dziewka).

TEATR LETNI:

„Nasza żoneczka“ komedia w 3 aktach Arczy Hopwooda.

Zaczynamy się powoli przyzwyczajać do „gout americain“ w teatrze. Tymczasem w komedjach i farsach gdyż przeważnie nie — karmią nas polsko-amerykańscy dostawcy. Nie wiem, czy potrafilibyśmy smucić się i filozofować z amerykańkami, ale śmiać się z nimi nie jest rzeczą trudną. Pod jednym oczywiście warunkiem: żeby amerykańska farsa-komedia wywodziła się z Paryża.

Taką francuską komedią przygotowaną na sposób amerykański jest „Nasza Żoneczka“ Hopwooda. Niestety, bardzo, bardzo nasza! Pani Dodo cierpi na manję nieszkodliwą dla niej samej, ale niebezpieczną dla otoczenia. Musi być uwielbiana. Kwestja uwielbienia mężczyzny jest „Być albo nie być“ dla tej uroczej istotki. Jest tak pewna swojej uciwłości i tak wysoko ją ceni że nie cofnie się przed żadnym zuchwałstwem ani najśmielszym krokiem który pomoże jej skokietować osobnika płci męskiej.

Kokieteryja weszła pani Dodo w krew, stosuje ją do każdego: doktor, poeta (oczywiście zwarjowany!) słudzy... Nawet własny mąż, którego pani Dodo również udało się skokietować na prośbienie. Bo już, już zagroził jej rozwodem. Lada chwila ma przyjść adwokat. Ale pani Dodo przysięgła że zacznie nowe życie, kazała mu uwierzyć i w swoją miłość, oddanie... Wchodzi adwokat. Jako niepotrzebny chce się wycofać. Ale jest mężczyzną. Reszty łatwo się domyśleć: wymarzone śniadanie „en deux“, odbędzie się „en trois“, a tym trzecim, niepotrzebnym i krępującym będzie oczywiście skokietowany przed chwilą mąż...

Jest to temat dający możliwości do najdrażliwszych sytuacji. I prawdopodobnie farsa francuska obfitowałaby w nie. Amerykanin wyszedł z nich obronną ręką. „Nasza żoneczka“ jest do gruntu niewinna, świeża, bawiąca nas trochę po dziecięcnemu, wbrew naszej woli, ale naprawdę miła.

Dużo w tem zasługi pani Marji Górczyńskiej i jej dzielnych partnerów w osobach pp. Orwida, Hnydzińskiego, Lenczewskiego i Kurnakowicza. Zwłaszcza pan Kurnakowicz, komik pierwszorzędny, wybił się na plan pierwszy tuszując kolegów. Ale to już nie jego i nie ich wina...

TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ i FERTNERA:

„Kawiarenka“, komedia Tristana Bernard.

„Kawiarenka“ należy do najlepszych i najzabawniejszych fars Tristana Bernard. Ma pod tym względem ustaloną reputację i nigdy nie zawodzi pokładanych na nią „kasowych“ nadziei zwłaszcza jeżeli Alberta gra pan Fertner. Jest to najlepszy podobno Albert i Albert należy do najlepszych ról pana Antoniego.

Istotą farsy jest nieprawdopodobieństwo. Więc nie dziwny się, że Albert, odziedziczywszy krociowy majątek nie przestaje usługiwać w restauracji. Może jest to zajęcie bardzo przyjemne, kto wie? Przynajmniej ci, którzy kelnerami nie byli nie mogą o tem sądzić...

Ale jest i inny powód, o którym mówi p. Bernard, przywiązania Alberta do zawodu. Kontrakt obowiązuje go do zapłacenia olbrzymiego odszkodowania wrzecie gdyby samowolnie rzucił pracę. Człowiek który odziedziczył pieniądze niechętnie się z nimi rozstaje. Albert nie różni się w tem od swoich bliźnich. Woli prowadzić podwójne życie — dzentelmana i garsona — niż uszczuplić majątek. Stąd rozmaite perypetje kończące się małżeństwem Alberta z córką pryncypała.

Pan Fertner, kapitalny Albert, rolę tą i wyborem „Kawiarenki“ zmazał w oczach publiczności i krytyków poprzednie grzechy repertuarowe swego teatru. Zespół, z pp. Gellówną, Kościeszanką Walterem, Grabowskim i Justjanem na czele — bardzo dobry. „Kawiarenka“ i tym razem nie powinna zawieść nadziei. Z. P.

MODY I ROBOTY





1074

1075

1076

1077



1078.

1079.

1080.

1081.



1082.



1083.



1084.



1085.







INKRUSTACJE KRETONOWE

Łatwą do wykonania, tanią i praktyczną robotę, robi się z tasiemeczki szydełkowej na-przód przygotowanej ścięciem ścisłym na postawie łańcuszkowych oczek. Na metr takiej tasiemeczki potrzeba mniej więcej 18 gr. bawełny krętej. Przygotowawszy wpierw tasiemkę układa ją się na wzorze narysowanym na sztywnym papierze, lub na klejonce, na których wcześniej nafastrygowaliśmy wycięte z kretonu barwne motywy, jak to na rysunkach: 2, 3, 4, 5, widzimy.

Sposób ułożenia tasiemeczki łatwo samemu narysować, aby dobrze układała się, trzeba ją naciągnąć na nitkę, (rys. 1,) którą przyciąga się tasiemeczkę i w miarę potrzeby nadaje jej kształty odpowiednie. Przypatrzmy się wzorowi rys. 2 wykonanemu taką robotą. Firanka z szarego płótna, zakończona imitacją koronki irlandzkiej, ułożonej z tasiemeczki szydełkowej, urozmaiconej motywami kretonowymi, obramowanymi tą samą tasiemeczką.

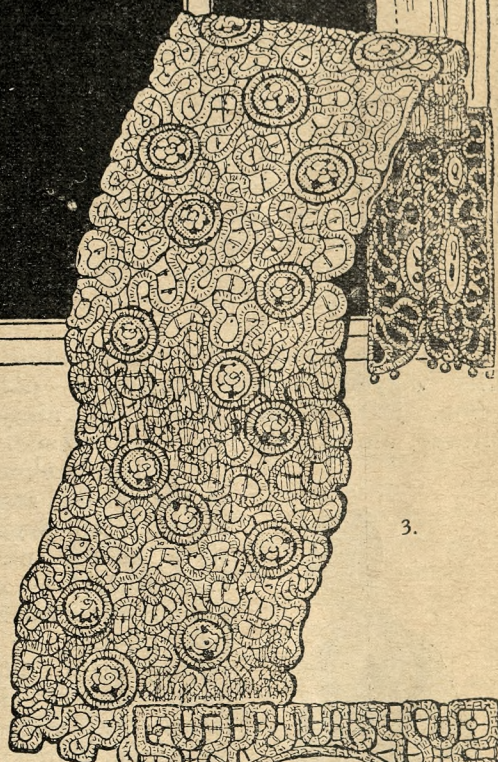
Motywy są wstawiane między zakręty tasiemeczki i ożywiają całość. Również i laufer, (r. 3) w którym koronkowe wzory łączone są dzierganymi baretkami, zasiane kółkami kretonowymi ujętymi w szydełkowe ramki. Tu kwiatki, tam owoce, tu znów stylowe figuynki, koszyczki z kwiatami, 4. użyte na środki kwadratowych (rys. 4), lub okrągłych serwetek, (rys. 5) oprawne w torsadkę szydełkową, obszyte koronką z ładnie powykręcanej tasiemeczki lub wykonane pikotami dzierganymi igłą albo szydełkiem. Wykrawając

motywy z kretonu trzeba nadpuścić trochę materiału na założenie i podszyć brzegów po odwrotnej stronie tasiemki. Ładne i pożyteczne rzeczy, które można zrobić tym sposobem mają jeszcze tę zaletę, że pozwalają wykorzystać każdy na pozór nieużyteczny kawałek.

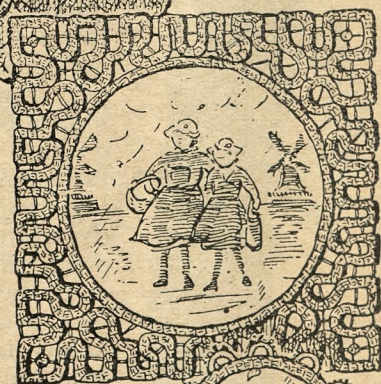
Naturalnie motywy takie można wycinać nie tylko z kretonu ale i z jedwabiu, adamaszku, crêpe de chine'u, płótna jedwabnego, na tle których można haftować, lub malować desenie.



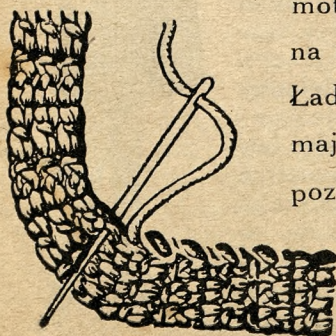
2.



3.



5.



1.



BIELIZNA I NEGLIŻE



Dzisiejsza bielizna damska tak daleko odbiegła od pierwowzoru zamierzchłych lat, kiedy prababki i babki nasze dostawały wyprawy zaopatrzone w tuziny koszul, majtek, staniczków i halek z czysto lnianej tkaniny — oszywanych haftem, nicianką, lub szydełkowymi koroneczkami — nieskazitelnie białych barwą, o przepaścistym szerokim i obfitym kształcie, że w przyrównaniu ich do obecnych miniaturowych cacek czai się mimowolny uśmiech politowania.

Doskonale da się tutaj zastosować przysłowie, które mówi — inne czasy, inne obyczaje.

To co wywołałoby niezawodnie rumieniec wstydu i okrzyk zgorszenia pół wieku temu, jest uznane przez nas nie tylko za śliczne, ale za wygodne i praktyczne.

Niepotrzebne nam są już dzisiaj zamczyste kufry jeżeli wybieramy się w podróż nawet na czas dłuższy — dessous kobiety moderne zajmuje tyle miejsca co dawny solidny tuzin chustek do nosa, mieści się ono łatwo w podręcznym neseserze, a przetrzucane przy rewizji celnej przez niewtajemniczonych widocznie w nakazy mody funkcyjnarjuszy, wywołuje niejednokrotnie niedyskretne pytania i wymaga daleko idących wyjaśnień co do swego przeznaczenia. A teraz pomówmy wyczerpująco o kolorycie, kształcie i wielkości tych modnych cacek.

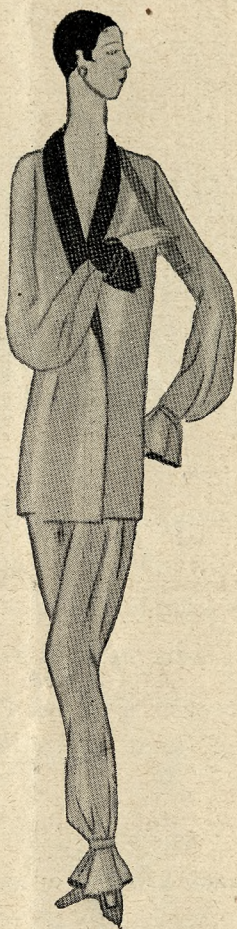
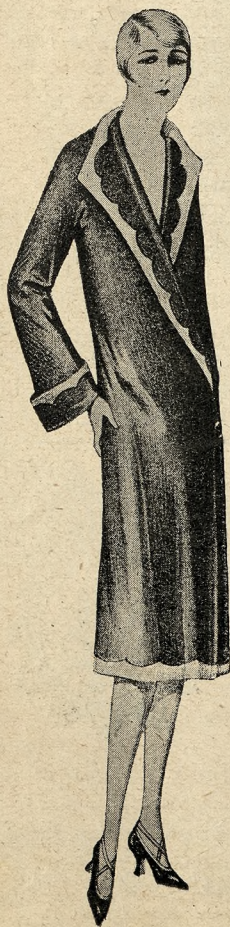
Wykonane zazwyczaj z crêpe de chine'u, jedwabnego fularu, lub japon'u kombinacje nasze lubują się w pastelowej barwie. Błado lila, błękitne, różowe, amande słomkowe, seledynowe, champagne — przystrojone są ręcznym haftem utrzymanym w tonie, lub zdobne szeroką bogatą koronką żółtego, czy też szarego koloru. Wstążek i kokard nie spotyka się dzisiaj wcale. Ramiączka szyje

się z wążuteńkich paseczków materiału, z którego wykonana jest bielizna — nocne koszulki szczytą się jako najmodniejszą ozdobą wianuszkami z drobnutkich jedwabnych różyczek, które okalają wycięcie.

Kombinacja — ta wszechwładna pani, zastępująca koszulkę, majtki i halkę, gładka i wąska górą, rozszerza się od dołu w kształcie miniaturowej spodniczki — długość sięga najdalej kolan — fasony ulubione to nacięcie z boków, które ułatwia przymarszczenie, lub też doszycie do koszulkowej góry naddanej sutszej nieco spódniczki. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku, jedynym zapięciem jest małeńka klapka, łącząca u dołu przód i tył, zrobiona z wstążki, lub tej samej co i bielizna tkaniny.

Pomimo posłuszeństwa jakiego moda spodziewać się może i ma prawo od każdej z nas trudno uwierzyć, aby w sezonie jesiennym i zimowym taka bielizna mogła zabezpieczyć dostatecznie przed chłodem i zimnemi, a tak niedyskretne podmuchami wiatru. To też noszona chętnie i entuzjastycznie w lecie musi jednak zgodzić się na pewne koncesje, gdy nadchodzi okres chłódów. Chcąc hołdować nadal rozkosznemu kontaktowi z deli-

katną tkaniną i estetycznym kształtem modnej bielizny łatwo zaradzić sobie możemy zastępując kombinację kolorową małeńką koszulką i jedwabnymi trykotami tej samej barwy, co daje dużo większą dozę ciepła niż rozcięte i przewiewne fasony kombinacji. Jedwab jest uznany przez lekarzy za najhigieniczny i najzdrowszy materiał bielizniany, jako łatwo przepuszczający powietrze i promienie słońca. Poruszano nawet na jednym ze zjazdów lekarskich zagranicą sprawę zwolnienia jedwabiu od ceł przywozowych i wywozowych, co udo-



stąpiłoby szerokim warstwom nabywanie takowych. Projekt ten jednak nie został wprowadzony w życie i nie każda z nas pozwolić sobie może na jedwabną bieliznę.

Pod względem estetycznym zastąpi ją łatwo woal, asortyment kolorów którego jest tak bardzo bogaty. Bielizna woalowa, lekka, cieniutka, odznacza się jeszcze przytem wielką praktycznością. Pierze się świetnie i jest wprost niezdarta, a w połączeniu z koronkami, lub specjalnym ręcznym haftem efektownym, a nietrudnym do wykonania, daje śliczne wyniki.

W królestwie negliżów pyjama zajmuje dotąd pierwsze miejsce. Linja jej harmonizuje z wiotkimi i smukłymi kształtami — dla osób cięższych jest niekorzystna i figury takie powinny unikać jej bezwzględnie. Pyjama damska, odbiegła już dzisiaj daleko od typu swego pierwowzoru — pyjamy męskiej, gra ona tysiącem barw i przepychem wymyślnych kombinacji. Spodeńki bufiaste ściągnięte w kostce na gumę, z gładkiego barwnego jedwabiu, na to narzucona luźna długa bluza, dokoła bioder ujęta pozłocistym pasem z przetykanej lamy, lub też szeroko rozwartą na tle różnobarwnej kamizelki.

Ulubioną kreacją ostatniego sezonu są w Paryżu pyjamy wykonane z lekkiego jedwabiu znaczonego w duże pojedyncze róże. Najmodniejsze zestawienia są: na tle szmaragdowym lub czarnem, róże białe — na tle granatowym, albo koloru czerwonego wina — róże srebrzyste. Bufiaste spodeńki i niezbyt długa suta bluza z szalowym kołnierzem koloru deseni i takimiż wyłogami przy szerokich rękawach — w pasie sznur koloru tła.

Prześliczne są też szlafroki crêpe de chine'owe podbite i przybierane marabutami — wszystkie te modele są jednak bardzo kosztowne i nie należą do praktycznych, zagłębianie się w ich nieuchwytnym, a pociągającym uroku przyrównać można prędzej do podziwiania kosztownych cacek, których czaru nie zmniejsza przeświadczenie, że są dla nas niedostępne, niż do studjowania modeli, jakie mogłyby posłużyć nam za pierwowzór przy obmyślaniu niezbędnego każdej kobiecie, rannego negliżu.

W drodze powrotnej ku szarej i mało pociągającej rzeczywistości z pełnym rezygnacji uśmiechem zatrzymać się należy przed kolekcją ładnych w kolorach, a tanich i praktycznych flanel, wełnianych crêpe marocain i tak bardzo praktycznych, a efektownych welwetów piorących się doskonale. Jest to dziedzina skromniejsza niż barwne kosztowne lamy i jedwabie, a jednak przystosowując się umiejętnie do tych ram można powołać do życia rzeczy ładne i niezaprzeczenie gustowne.

Typ kobiety, która spędzała długie ranne godziny w negliżu, oddając się bezczynności z prawdziwym miszrowsstwem należy już u nas do przeszłości. To też potrzebniejsze nam są dzisiaj szlafroki o typie saut du lit. Niezbyt krótkie, rozcięte do samego dołu, wiązane z boku na dużą kokardę, z wąskim szalowym kołnierzem i obszernymi rękawami są najwygodniejsze. Jeżeli wykonane będą z deseniowego materiału, wyłogi i wiązanie najładniej dać z gładkiej tkaniny koloru tła.

Prześliczne szlafroki z jedwabnego crêpe marocain, podbite jednokolorowym crêpe de chine'em mogą łatwo służyć za ciepłe ranne negliże, jeżeli podłożymy crêpe de chine cieniutką watoliną przepikowując delikatnie.

Mówiąc o rannym stroju trudno pominąć milczeniem czepeczki, które są nieodzownym jego dopełnieniem. Najwygodniejszymi fasonami, bo łatwymi do prania i prasowania będą zawsze czepeczki w formie kwadratów, strojne haftowanymi motywami, oszyte koronką i wiązane na wstążki przyciepione po dwóch rogach, albo półkolisto krojone, o prostej linii przodu wykończonego szerokim na dłoń obrębem. Linję półkolistą podszywamy skosikiem i nawlekajmy wąską gumką — prosty pas przodu odwija się po bokach i formuje ładną i twarzową bretonkę. Czepeczki takie najlepiej układają się z organdy, która nawet po praniu nie traci charakterystycznej sztywności. Materiałami najodpowiedniejszymi i najwdzięczniejszymi jeżeli chodzi o wykonanie delikatnych i zwiewnych cacek czepeczkami zwanymi, będą — woal, crêpe de chine, tiul, lub jedwabny muślin.

W. D.



PO WAKACJACH

Warszawa już się zaludniła. Wrócili ludzie z letnisk, ze wsi, nieliczni uprzywilejowani z zagranicy. Wrócili w tym właśnie czasie, kiedy Warszawa tracą królewską ozdobę purpurowo-złotych liści i zdają się wyciągać rozpaczliwie swe obnażone gałęzie ku niebu, jakby w niemej skardze na szarugę i słotę, które lepkiem szarym całunem spowijają gród. Mam wrażenie że gdybym była bogata to wy-

jeżdżałabym z Warszawy właśnie na październik i listopad. Na razie cieszę się, że mi z każdym dniem przybywają towarzysze niedoli. Wczoraj idąc o szarej godzinie poomacku, nadziałam się swoim parasolem na parasol Loli Bywalskiej. Nastąpiło zderzenie, poznanie i radosne powitanie. Moją radość nieco mąciła obecność nieodstępnej Kunegundy Snobikowskiej, która towarzyszyła Loli, pod ociekającym wodą parasolem.

Okazało się że Lola już od dwóch tygodni powróciła, ale nie telefonuje do nikogo ze znajomych, bo firanki w domu nie powieszono, no i czeka ze sprawieniem sobie zimowych toalet aż się moda ustali, więc na razie zachowuje incognito. Z lata nie jest zadowolona. „Wyobraź sobie, z początku wyjechałam do Świdra, że to niby oszczędniej i mąż mógł dojeżdżać co tydzień. Ale w pensjonacie zdzierali po dwanaście złotych dziennie, przytem nudy i plotki nie do wytrzymania. Powiedziałam mężowi, że za tą samą cenę mogę się urządzić w Krynicy“. — A on naiwnie uwierzył? — wtrąciłam ironicznie. „Ja sama w to uwierzyłam, odparła z godnością Lola, oczywiście jak przyszło co do czego wypadło znacznie drożej. Ale to z powodu przepełnienia. Wszystko musiałam przepłacać. I przytem ciągle byłam zmęczona; te walki o zdobycie wanny, każdej szklanki Zuber, wycieczki na Jaworzynę, dancingi...“. — Zwłaszcza dancingi, kochana pani Lolu, zwłaszcza dancingi, wtrąciła słodko Snobikowska. Lola zignorowała uwagę i pawiła dalej. „Ostatecznie postanowiłam odpocząć i pojechałam do Zakopanego, ale tam były takie deszcze, że znów z rozpaczny tańczyłam, a mąż, który przyjechał po mnie albo grał w pokera albo popierał Kasprowicza, twierdząc że dla niego Zakopane jest od Kasprowicza nieodłączalne“.

— I to tak długo może? „Nie, bardzo prędko wyczerpały się nasze finanse, wobec czego pojechalismy do kuzynów na kresy. Bardzo mili ludzie, serdeczni, gościnni, tylko ciągle się skarżą że są zrujnowani na dowód czego tak jedzą, że nasze miejskie żołądki nie wytrzymały i wróciliśmy oboje zupełnie chorzy. Od powrotu leczę się zupełnie poważnie i odsypiam załgłości“. Rzeczywiście Lola wyglądała wcale nie-szczególnie. „Ja nigdy nie miałam zaufania do krajowych uzdrowisk, odezwała się Snobikowska i dlatego postanowiliśmy z mężem wyjechać chociażby na krótko ale zagranicę“. — No i zadowolona pani? — Naturalnie, odparła miażdżąc mnie wzrokiem, tylko mało kulturalni ludzie nie mogą zrozumieć rozkoszy oddychania powietrzem Europy. Tylko te trudności paszportowe, westchnęła, dla męża udało mi się wreszcie wy-

robić paszport ulgowy, a ja musiałam zapłacić, dodała boleśnie. — Ale za to tam jest tanio — pocieszała ją Lola. — Co to, to nie, w Niemczech grabią Polaków jak mogą, to zresztą rozumiałe ale i w sprzymierzonej Francji dla etranżerów są poczwórne ceny. Nawet nie rozumiem, jak się oni na tem poznają, przecież ja mówię po francusku jak rodowita Paryżanka. Tu Lola i ja spojrzaliśmy na siebie porozumiewawczo, gdyż Snobikowska mówi po francusku z przysłowiowym akcentem krowy hiszpańskiej. Jakaś wysoka panna w nieprzemakalnym płaszczu umiejętnie mijała skupienie naszych parasoli, barykadujących trotuar. „Jak się masz, Hanka, zatrzymała ją Lola, jak ty bajecznie wyglądasz dziewczyno, gdzieś ty była latem“. — Zapytana odsłoniła w uśmiechu zęby olśniewająco białe przy mocno opalonej twarzy. — Ja? Nie wyjeżdżałam wcale z Warszawy. — Jaki? A urlop? — Sprzedałam go, żeby móc wysłać mamę do sanatorium! — Więc gdzież się pani tak opaliła? wtrąciłam zaciekawiona gdyż wyglądała jak ulana z brązu. — Na Wiśle, proszę pani, odparła śmiejąc się, znajomi nazywają mnie chodzącą reklamą Wisły. Codzień zaraz po biurze jechałam na przystań Wioślarek, tam pływałam, brałam kąpiele słoneczne, no i oczywiście wiosłowałam. W niedziele i święta wyjeżdżałam na całodienne wycieczki. No i czuję się znakomicie. — Rzeczywiście, wyglądasz jak obraz zdrowia, rzekła z zazdrością Lola. — Dziwię się, że tak mało osób korzysta z dobrodziejstw Wisły, mówiła panna Hanka, na przykład ty, Lolu, wciąż prowadzisz męczące kuracje odchudzające, a przecież kąpiele wiślane są pod tym względem bez konkurencji“.

— Kiedy ta woda wiślane jest taka jakaś.. skrzywiła się Snobikowska. — Pewnie że to nie Adrytyk, zgodziła się wioślarka, ale gdy się ma do wyboru duszenie się w czterech ścianach, lub ruch na świeżem powietrzu... Ale przepraszam panie, właśnie nadchodzi mój tramwaj... I wskoczyła w nadchodzący tramwaj tak szybkim sprężystym ruchem, że spojrzaliśmy po sobie z podziwem, a Snobikowska westchnęła zawistnie. — Wiecie, rzekła po chwili Lola, ona ma pod każdym względem rację.

Well.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

USTRÓJ WŁADZ PAŃSTWOWYCH W POLSCE

Minister Spraw Zagranicznych prowadzi politykę zagraniczną, utrzymuje stosunki z obcemi państwami i sprawuje opiekę nad obywatelami polskimi zagranicą. Swoje kompetencje Minister Spraw Zagranicznych wykonywuje przy pomocy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oraz przy pomocy polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych poza granicami Państwa — Ministerstwo Spraw Zagranicznych składa się z 3-ch departamentów (Ogólnego, Politycznego i Konsularnego) oraz z t. zw. Protokołu Dyplomatycznego. Za granicami posiadamy 2 ambasady (w Paryżu i przy Watykanie) 27 poselstw, 32 konsulatory etatowe i 54 honorowych.

Minister Spraw Wojskowych ma za zadanie kierownictwo armją na stopie pokojowej i przygotowanie obrony Państwa.

Minister Spraw Wojskowych sprawuje władzę przy pomocy Ministerstwa Spraw Wojskowych, które składa się z dziesięciu departamentów i 6-ciu samodzielnych wydziałów. Przy Ministrze Spraw Wojskowych utworzony jest urząd Generalnego Inspektora

Armji, który przewidziany jest na Wodza Naczelnego podczas ew. wojny. Generalnemu Inspektorowi podlega Sztab Generalny złożony z oddziałów, pod kierownictwem Szefa Sztabu.

Władzami prowincjonalnymi podległymi ministrowi spraw Wojskowych są Dowództwa Okręgów Korpusowych t. zw. popularnie D. O. K., które dowodzą wojskami w swoim okręgu, a nadto Powiatowe Komendy Uzupełnień, które zajmują się sprawami poborowymi. — D. O. K. jest 10, przyczem ich granice nie pokrywają się z granicami Województw.

Powiatowe Komendy Uzupełnień istnieją teoretycznie w każdym powiecie, ale w praktyce obejmują po parę powiatów administracyjnych.

Minister Skarbu prowadzi politykę finansową Państwa, kieruje administracją skarbową w zakresie dochodów i wydatków Państwa, oraz prowadzi politykę kredytową i walutową. Oprócz Ministerstwa Skarbu, organami centralnemi Ministra są: Prokuratorja Generalna, która sprawuje obronę prawną interesów Państwa i zastępuje Państwo wobec sądów i samorządów,

Główny Urząd Likwidacyjny, który zajmuje się likwidacją stosunków wynikających z przynależności ziem Polskich do b. Państw zab. i likwidacją szkód wojennych i Urząd Kontroli Ubezpieczeń. Ministerstwo Skarbu składa się z 6 Departamentów, Kasowego, Akcyz i Monopoli, Podatków i Opłat Skarbowych, Obrotu Pieniężnego, Ceł i Budżetowego oraz podległych poszczególnym Departamentom urzędów - przedsiębiorstw, a mianowicie: Urzędu loterii Państwowej, Biura sprzedaży Soli, Monopoli Spirytusowego, Monopoli Zapalczanego, Monopoli Tytuniowego, Monopoli Sacharyny, Mennicy Państwowej, Zakładów graficznych, Urzędów Pożyczek Państwowych.

Przy ministrze skarbu istnieją rady: Finansowa, Spółdzielcza, Spirytusowa, Ubezpieczeń, Towaroznawcza, Spirytusowa i Tytuniowa, a nadto Minister Skarbu sprawuje zwierzchnictwo nad 3-ma bankami Państwowymi: Bankiem Gospodarstwa Krajowego, Bankiem Rolnym i Poczta Kasa Oszczędności. Organami prowincjonalnymi Ministra Skarbu w II instancji są Izby Skarbowe i Dyrekcje Celne. Izby Skarbowych jest 14-cie, a ich okręgi terytorjalnie pokrywają się naogół z Województwami. Do kompetencji Izby Skarbowych należy całokształt zadań skarbowych na ich obszarze, za wyjątkiem spraw celnych, które podlegają Dyrekcjom celnym. Dyrekcji Celnym jest 6, w Warszawie, Myśłowicach, Poznaniu, Wilnie, Lwowie i Gdańsku i mają one za zadanie kierownictwo poborem ceł i ochroną granicy.

Organami prowincjonalnymi Skarbu w I instancji są Powiatowe Kasy Skarbowe, Urzędy Podatków i Opłat Skarbowych, Urzędy Akcyz i Monopoli, Urzędy celne i Inspektoraty, oraz Komisarjaty Straży Celnej. Powiatowa Kasa Skarbowa istnieje w każdym powiecie administracyjnym i ma za zadanie pobieranie wpływów i dokonywanie wydatków państwowych. Urzędy Podatkowe istnieją także w każdym powiecie, a zajmują się wymierzaniem i egzekucją podatków i opłat. Urzędów Akcyz i monopoli jest w całej Polsce 67, rozrzuconych w większych miastach powiatowych, a urzędów celnych pobierających cła mamy na granicy 203, i wewnątrz kraju 25. Inspektoratów straży celnej jest 24, przyczem każdy inspektorat liczy od 5-ciu do 6-ciu komisarjatów. Urzędy te kierują ochroną granic pod względem skarbowym.

Do kompetencji Ministra Sprawiedliwości, należy administracja władz i urzędów wymiaru sprawiedliwości, publikacja praw, nadzór prokuratorski, zarząd więziennictwem i przygotowywanie projektów ustaw z zakresu prawa prywatnego,

Ministerstwo Sprawiedliwości składa się z 3-ch Departamentów, Ustawodawczego, Administracyjnego i Karnego, z Nadzoru Prokuratorskiego i z Redakcji Dziennika Ustaw.

Organami prowincjonalnymi Ministra Sprawiedliwości w zakresie administracji sądów są prezesi sądów apelacyjnych i okręgowych, a w zakresie nadzoru prokuratorskiego — prokuratorowie przy Sądach Apelacyjnych i Okręgowych. Do zadań prokuratorów należy popieranie oskarżenia przed właściwymi sądami

w sprawach karnych z ramienia Państwa. W zakresie więziennictwa organami najniższymi są Zarządy Więzień Państwowych, a organami pośrednimi, zależnie od dzielnicy, bądź bezpośrednio Dep. Karny Ministerstwa, bądź Prezesowie Sądów Apelacyjnych, bądź też Prokuratorowie Sądów Okręgowych.

Przy Ministrze Sprawiedliwości istnieją: Komisja Kodyfikacyjna, mająca za zadanie opracowanie zuniifikowanego ustawodawstwa i Komisja Prawnicza mająca opinować pod względem prawnym projekty ustaw i rozporządzeń opracowanych przez poszczególne Ministerstwa.

Minister Oświaty ma za zadanie zarząd szkolnictwem, sprawuje opiekę państwową w zakresie spraw wyznaniowych, a także opiekę nad nauką, sztuką i literaturą.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia, składa się z 7 departamentów: ogólny, szkolnictwa średniego, szkolnictwa powszechnego, nauki i szkół wyższych, szkolnictwa zawodowego, wyznań i sztuki, oraz z samodzielnego wydziału archiwów. Bezpośrednio ministerstwu podlegają Archiwa Państwowe, których jest 14, w większych miastach Rzplitej i szkoły wyższe, których jest 12-cie. Organami prowincjonalnymi Ministra Oświaty są w II instancji kuratorowie szkolni, kierujący całym szkolnictwem (oprócz wyższego) w danym okręgu, a w I instancji inspektorowie szkolni, kierujący szkolnictwem powszechnym na obszarze powiatu.

Kuratorów szkolnych (okręgów szkolnych) jest 12-tu, niektóre przeto okręgi szkolne obejmują więcej niż jedno województwo. Inspektorowie szkolni istnieją w każdym powiecie administracyjnym. Przy niektórych Kuratorach istnieją ciała doradcze t. zw. Rady Szkolne Okręgowe — z udziałem obywateli — a w powiatach są z reguły także Rady szkolne powiatowe.

Organami ministra oświaty w zakresie spraw wyznaniowych i spraw opieki nad sztuką, są Wojewodowie i starostowie.

Minister Rolnictwa i Dóbr Państwowych prowadzi politykę gospodarczą państwa w zakresie rolnictwa i leśnictwa, wykonywuje nadzór państwowy, w zakresie weterynarii, kieruje zakładami oświatowymi z zakresu rolnictwa i sprawuje zarząd nad lasami i majątkami państwowymi.

Przy ministrze, istnieje, jako organ doradczy, Państwowa Rada Rolnicza.

Ministerstwo Rolnictwa składa się z 5-ciu Departamentów: Ogólnego, Rolnictwa, Leśnictwa, Weterynarii i Chowu Koni i niewchodzącego w skład departamentów Wydziału Ekonomicznego. Wprost Ministerstwu podlegają: instytut gospodarstwa wiejskiego, instytut meteorologiczny, 9 państwowych rolniczych szkół ludowych i 2 stadniny państwowe.

Organami prowincjonalnymi Ministra Rolnictwa są Wojewodowie i Starostowie, za wyjątkiem spraw z zakresu zarządu lasów państwowych, które załatwiają Dyrekcje lasów państwowych, w I instancji nadleśnictwa.

(c. d. n.)



O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

W I E K X I X

Nazwano wiek XIX, wiekiem pary i elektryczności; można by go nazwać również wiekiem złego smaku, wiekiem upadku architektury, zaniku estetyki w urządzaniu mieszkań. Bo w parze z rozwojem techniki, z coraz nowymi i genialnymi wynalazkami szedł prąd materializmu, szła władza pieniądza, walka o niego i szło jego panowanie. Rozwiewał się romantyzm pod tchnieniem maszyn i realna nuda szablonu oparowywała świat. Coraz szersze koła dorabiały się fortuny i chciały odrazu żyć i mieszkać tak samo jak ci, co nią władali od wieków. A że zawsze nowi ludzie dyktują światu prawa, choćby tylko mody, więc się Europa zaczęła szpecić na potęgę.

Przedziwny chaos przedstawiają domy mieszkalne drugiej połowy XIX stulecia. Obok ślicznych zabytków minionych epok, z narzuconymi przez wieki przeróbkami i dodatkami, powstają rzeczy nowe, wzorowane na starych. Taki sobie wzbogacony fabrykant chciał mieć pałac, powiedzmy jak książę Kondeusz. Budowano więc kopję, zastępując szablonem dzieło wielu lat pracy rzeźbiarza-artysty. Powstawała tandeta tylko na oko podobna do świetnego pierwowzoru. A jednocześnie budowano w miastach staszne koszarowe domy, bez należytego dostępu światła i powietrza, gdzie w małych klitkach gnieździły się rzesze pracujących biedaków, te straszliwe domy po dziś jeszcze istniejące w ogromnej ilości ku hańbie naszych dni. Walczą z nimi w państwach zachodnich, rozpoczynamy walkę i my. Smutnie jest mówić o tych biednych izbach, zwykle za wysokich, za wąskich, za długich, z zarząca się pod sufitem lampą, zapchanych gratami bez wartości, pełnych wyziewów ludzi, jadła, mydlin... Do dziś takie domy stoją w Warszawie, nawet nie w najgorszych dzielnicach, i każdy może się przekonać w jak strasznych warunkach żyją jednak całe pokolenia.

Lecz chcąc znaleźć wyraz epoki, trzeba zajrzeć do mieszkań, które panowały i przewodziły światu bogatemu. Nie będą to już arystokratyczne zamki. Zamarły one, skostniały w swem pięknie jako wzory nienaruszalne. Ich mieszkańcy pobudowali sobie (na szczęście) nowe siedziby, z nowym gustem urządzone. Powstają w olbrzymiej ilości wille, domy, dwory, pałace — imitujące różne historyczne budowle lub do nich podobne. Powstają rzeczy brzydkie, choć wzorowane na pięknych, ale bez wyczucia dawnej duszy, dawnych potrzeb, ot marne fotografie. Bowiem nic nigdy z tego co minęło nie da się odtworzyć. Tymczasem budowniczo wie z dziwnym uporem trzymają się starych, często nieodpowiednich wzorów, i rodzą się serjami nowe gotyki, renesansy, rokoka. Coraz brzydsze.

Panuje materializm i przejawia się w urzędzeniu wnętrza. Jak najwięcej materji. Jest to gra słów. Panują bowiem materiały — tkaniny. Ludzie nie myślą wcale o zdrowotności swych siedzib. Że warunki społeczne postawiły uboższą ludność w strasznej sytuacji mieszkaniowej, że się stłoczyła rodzina w małej izbie, to już inna sprawa; było tak i dawniej, ale wtedy zaczęły się na to otwierać oczy, zaczęto pisać książki nawołując, że i ci biedacy są ludźmi, czują podobnie jak i możni. Ale, że klasy oświecone i zamożne rozmiłowały się w brzydocie wnętrza i ich niezdrawotności, to się wydaje dziwnem.

Bo czyż było i mogło być zdrowem mieszkanie, w którym największe, najjaśniejsze pokoje oddano na

wystawność, często na obłudną wspaniałość. Sypialnie, pokoje gdzie spędzamy niemal połowę życia, były najgorszymi w domu, zaś pokój dziecienny był sam dopiero w powijkach. Powstała moda miękkich mebli. Są do dziś w niektórych domach owe garnitury, gdzie niema ani kawałka drzewa nazewnątrż; wszystko miękkie, obite jednym lub dwoma gatunkami tkaniny, nasiąkało kurzem, a trzepane wydzielało tumany pyłu, który znów opadał. Te miękkie meble powyginane w esy, lub ułożone z poduszek w sznurach, festonach, chwastach — to zbiorniki mikrobów, wieczysty kłopot służby, której musiało być moc. Na ścianach rozwieszano obicia z tkanin, na ramie; a więc między ścianą a obiciem była przestrzeń na kultywowanie robactwa, a zawsze śmiecia. Pamiętam opis „ślicznego buduaru“ w starej powieści z lat 70-tych.

„Pokój był cały obity różowym adamaszkiem, zaś sufit przysłonięto różowym jedwabiem, że tworzył jakby namiot, podpięty w środku lampą w kształcie muszli. Na dywanie stały w „artystycznym“ nieładzie mebelki, z takiegoż różowego adamaszku w formie konch muszlowych... i t. d.

Co za brud musiał być ponad owym namiotem, bo przecież całego pokoju nie można było trzepać codzien. A owe tureckie gabinety, pełne makat dywanów, poduszek, przesiąkłe zapachem tytoniu i perfum. Znow się owija łóżka w festony z materiałów, jak też zakrywa niemi drzwi i okna. Do czegoż innego jak nie do fałszywej dekoracji służyły owe kawały aksamitu rozpięte nad drzwiami? Nie chroniły od chłodu, nie zastępowały drzwi, jedynie może czasem zawadzały w przejściu. Pokoje są mroczne, boją się blasku słońca, może w obawie by nie wykryto ich brzydoty. Przypomnijmy sobie, że wieczorem płonęły świece, lampy naftowe, potem gaz. I leż nieprzyjemnych zapachów przenikało te kłębowiska tkanin. Przypomnijmy sobie, że salony zastawiano masą kanapek, foteli, pufów, szeslongów, całym zastępem stolików, nierządkiem obitych takimże materiałem co i meble, parawanów i ekranów. Że na stołach przykrytych tkaniną leżały stosy albumów w plusz oprawnych, masy gracików, cacek mało wartych i nieładnych. Na wszystko były utarte przepisy. Jadalnia musiała koniecznie posiadać „renesansu“ meble, boazerje, skórą obite krzesła. Salon o ile był kopją któregoś z „Ludwików“, to tonął w pluszach; a już buduar był cały spowity w tkaniny. Gdy sobie jeszcze wyobrazimy sylwetki kobiet, ustrojonych w kilkanaście metrów sukni, rozpiętych na krynolinie lub turniurze, płynące zwolna wśród zwału przedmiotów, zrozumie my tempo epoki; dopiero zaczynające się poruszać koło życia w jakim gnamy dziś.

Jeśli jeszcze mamy do czynienia ze sferą najbogatszą, która mogła sobie pozwolić na częste remonty, wreszcie na zmianę całego umeblowania co parę lat — to wszystkie owe nielogizmy znajdują usprawiedliwienie przed historją, jako chwilowy kaprys brzydkiej mody. Ale w owych latach rozrasta się klasa nowych ludzi; część ziemiaństwa przenosi się do miasta na stanowiska inżynierów, lekarzy, adwokatów; zakładają ogniska na nowym terenie. Jeśli byli ludźmi kultury, przywożą ze sobą przeróżne zabytki i meble, stwarzają stylowe wnętrza, żyją w przeniesionej do miasta tradycji dworu. Ale wielu, bardzo wielu zaczęło nowe życie w nowych formach, zrywano z przeszłością, urządzano się modnie i brzydko.

A cóż mówić o owych zastępach ludzi mniej zamożnych, mających szczupłe lokale, paropokojowe, meblowane tandetą robioną w tysiącach egzemplarzy. Te okropne „salony“ z czarnymi meblami obite żółtym lub zielonym pluszem, z portjerami u drzwi, z oleodrukami i kopiersztychami. Te „renesansowe“ jadalnie, z kredensami w kolumnach, balustradach, obeliskach, te zbiorniki pyłu nie do odczyszczenia prawie. Brzydota tych wnętrz była straszna, a co najgorsze to właśnie owo fałszywe pojmowanie „domu“, w którym główną osią był nieużywany na codzień salon, a życie tłukło się w małych, ciasnych pokojach, niedowietrzonych i niedoświetlonych. A jednak czasy te obfitowały w doniosłe wynalazki; rozum ludzki coraz nowe zdobycze rzucał pod nogi tłumu. Świat nabierał rozpędu do nowego życia, tylko piękno spało.

Dość obronną ręką wyszły z tej epoki polskie dwory. Uratowała je tradycja, przywiązanie do pamiątek. Nie obeszło się naturalnie by tu i owdzie nie



urządzono wyściełanego buduaru lub tureckiego gabinetu. Lecz dzięki temu, że poprzednie pokolenia zaopatrzyły mieszkanie we wszystkie potrzeby, że panowało zawsze przywiązanie do tego co dziadowie używali, nie niszczone starych mahoni dla nowej tandety. To też po dworach na wsi znajdujemy zachowane wnętrza empire i te późniejsze, tak im pokrewne, biedermajery. Ciężkie, masywne, poważne i wygodne służyły, aż dopóki pociski niemieckie i moskiewskie, dopóki żołdactwo trójjaborowe nie obróciło ich w perzynę.

Dziś coraz mniej tych muzeów-dworów; moc ich zniknęła z powierzchni ziemi pod naporem dzicy bolszewickiej, a te co ocalały w głębi kraju, stoją — można powiedzieć — nad grobem. Zaszły w ostatnich czasach olbrzymie zmiany w poglądach, w warunkach ekonomicznych, w trybie i wymaganiach życia. Wściekły pęd naszego stulecia zaczyna porwać i nas. Musimy się poddać i gnać naprzód, gdyż inaczej, odrzuceni na bok — pozostaniemy w tyle.

Zygmunt Knothé.

PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Znajomość najważniejszych podstaw ratownictwa jest niezbędną dla każdego kulturalnego człowieka zwłaszcza dla kobiety. Kobieta ze swoją uczuciową naturą w większości wypadków chce i powinna nieść samarytańską pomoc w każdym nieszczęściu. Dobre chęci jednak nie wystarczają, a raczej przez nieumiejętne zachowanie się można więcej krzywdy przyczynić niż pomocy. Dlatego też ratownictwo powinno być przedmiotem przymusowych wykładów w szkołach średnich, jak to ma miejsce w Ameryce. U nas jedynie harcerstwo zrozumiało ważność niesienia pomocy w nagłych wypadkach i wprowadziło do swych zastępów naukę ratownictwa. Nie potrzebuję udowadniać jak doniosłe znaczenie ma zastosowanie tego w życiu codziennym. Często przez umiejętnie i szybkie ratowanie unika się kalectwa lub ciężkiej choroby.

Niepodobna w paru krótkich artykułach wyczerpać tak obszernego tematu.

Postanowiłam dać parę uwag i wskazówek aby zainteresować czytelniczki *Bluszczu* sprawą ratownictwa. Tych zaś którzyby chcieli przeczytać coś więcej z tej dziedziny odsyłam do bardzo popularnych i dobrych książek prof. Hermana, tłum. dr. Hilarowicza.

Poza poznaniem pewnych zasad ratownictwa, ażeby pomoc była wydatną należy prócz dobrej chęci mieć dużo przytomności umysłu, szybkość decyzji i pewną wrodzoną intuicję; w przeciwnym razie nieodpowiedni ratunek może oddać niedźwiedzią przysługę, spowodować pogorszenie, a nawet i śmierć. Najważniejszym wskazaniem przy ratownictwie jest, po udzieleniu pierwszej pomocy, zawezwanie siły fachowej. Naturalnie w miejscowościach oddalonych od miasta, gdzie pomoc lekarska jest tak utrudniona, pielęgnacja chorego musi być prowadzona znacznie dłużej, aż do przybycia lekarza.

Jednak nie trzeba się lękać, chociaż już nastąpiła poprawa, że obyc się można bez fachowej pomocy.

Każde pozornie małe zemdlenie lub osłabienie może być wskaźnikiem poczynającej się choroby, którą

wczas zażegnać można np. zemdlenie przy ciąży pozamacicznej. Nie wolno brać na swoją odpowiedzialność cudzego zdrowia i życia.

W nagłym wypadku należy mieć pod uwagę przede wszystkim ogólny stan chorego; przykonać się o tem można, badając czynności jego ustroju:

1. czynność układu nerwowego, zachowanie się chorego, jego wygląd i przytomność.
2. czynność narządu oddechowego.
3. czynność narządu krążenia, a przede wszystkim serce.

Nieprzytomność może się wyrażać lekkim zamroczeniem lub zupełną utratą przytomności. Człowiek zupełnie nieprzytomny leży bezwładnie, nie reaguje na dotyk, nieraz bezwiednie oddaje mocz i kał. W niektórych wypadkach chory jest nieprzytomny, lecz rzuca się i bredzi, np. pijak. Bardzo ważnym jest wówczas zwrócenie uwagi na zachowanie się żrenic. Reakcja żrenic polega na tem, że w miejscach jasnych zasłaniamy oko i patrzymy po zdjęciu ręki, czy żrenica zwęża się, — w miejscach ciemnych doświadczenie to robimy za pomocą światła zapalniczki, którą zbliżamy do oka. Odruch żrenicowy jest jedną z wyraźniejszych cech objawów życia. Żrenice mogą reagować słabo lub silnie, rozszerzone przy zatruciu wilczą jagodą, lub wążutkie, jak główka od szpilki, przy zatruciu morfiną.

Drugim ważnym odruchem jest odruch spojówkowy; każdy zdrowy człowiek broni się przymknięciem powiek przy zbliżaniu obcego ciała do oka; człowiek nieprzytomny zupełnie na to nie reaguje. Trzecim ważnym wskaźnikiem jest odruch kolanowy. Następnie bardzo ważnym jest wygląd twarzy chorego. Twarz może być zastrzona, nos wyciągnięty, oczy zapadnięte — zwykle występuje to przy silnych i poważnych zemdleniach przy uszkodzeniu w jamie brzusznej i przy wstrząsie. Wprawne oko odróżni wychudzenie chorobowe twarzy od ostrego wychudzenia, występującego przed śmiercią. Wychudzenie to następuje wskutek ubycia soków tkankowych i zmniejszonego napięcia skóry.

Przy oględzinach twarzy baczną uwagę trzeba zwrócić na jej kolor.

Bładość twarzy świadczy o małym dopływie krwi do głowy. nagle błądliwość wskazuje na odpływ krwi przy omdleniach, krwotokach, jak również wstrząsach nerwowych, psychicznych.

Czerwona twarz znamionuje przyływ krwi charakterystyczny przy udarze, bólach głowy, zatruciu wilczą jagodą, zaccadzeniach i wysokiej gorączce.

Siną twarz jest wyrazem niedostatecznego dostarczenia tlenu do płuc; pozatem siność występuje na wargach, uszach, nosie, kończynach dolnych i górnych.

Zabarwienie sinawe występuje także przy chorobach płuc, serca i nerek. Skóra żółta — przy żółtaczce, ciężkich zatruciach, katarach przewodu pokarmowego, chorobach wątroby.

Następnie należy zwracać uwagę na zachowanie się potu, który może wystąpić przy kryzysach, wysokiej gorączce, przy pewnych lekarsztwach lub przed śmiercią.

Bardzo ważnem jest zachowanie się czynności oddechowych.

Przy czynności oddechowej następuje wymiana gazów w organizmie. Organ oddechowy, płuca, czerpią z powietrza tlen, a wydają dwutlenek węglowy. Bez tej wymiany ustroj żyć nie może, musi wystąpić duszność i śmierć.

Duszność może wystąpić przy chorobach serca i płuc, gdy wymiana gazów nie jest tak intensywna. Przy otruciu, udarach mózgowych, wstrząsie występują bardzo przykre objawy duszności, przy czym może nastąpić sinica.

Ilość odechów u zdrowego i normalnego człowieka powinno wynosić około 24 na minutę, oddech może być przyspieszony lub zwolniony.

Oddech spokojny, równy cichy zwykle jest oznaką budzącą dobrą nadzieję.

Tętno jest zwierciadłem czynności serca. Serce jest maszyną ssącą - tłoczącą rozprowadzającą po organizmie krew naczyniami krwionośnymi.

Naczynia doprowadzające krew do serca nazywają się tętnicami, zaś odprowadzające — żyłami.

Serce bije pewną ilość razy na minutę, za każdym uderzeniem wtłacza pewną ilość krwi do naczyń. Naczynia elastyczne rozszerzają się i zwężają, to jest właściwie istotą tętna.

Każde uderzenie tętna odpowiada uderzeniu serca.

Tętno najlepiej wyczuć można na ręku, t. zw. sprychowu.

Przy badaniu tętna uwzględniamy ilość uderzeń jego na minutę oraz jego charakter. Normalnie powinno być 60-72 uderzeń pulsu na minutę; pod wpływem afektów, wrażeń psychicznych, strachu, gniewu, przyspiesza się do 80-110.

U dzieci tętno wynosi do 80-90 uderzeń na minutę.

Tętno normalne powinno być miarowe nie powinno mieć żadnych przyspieszeń lub opóźnień.

Tętno wystarczy liczyć w przeciągu całej minuty, lecz tylko ćwierć minuty pomnożyć przez 4.

Tętno przyspieszone dochodzi do 120 lub 160 uderzeń na minutę, opóźnione do 40.

Zwolnione bicie serca jest objawem bardzo niebezpiecznym. Przyspieszenie tętna spotyka się w gorączce, przy zatruciach, wstrząsie, chorobach serca, w osłabieniach.

Ażeby zapobiec zwolnieniu akcji serca należy podnieść wartość serca środkami nasercowemi.

Poprawa akcji serca wyraża się szybszym i pełniejszym tętnem. Wskutek stale odbywających się procesów chemicznych w naszym ciele wytwarza się ciepło. Należy więc zwracać baczną uwagę na temperaturę w nagłych wypadkach, aby móc zorientować w rodzaju zasłabnięcia.

Temperatura zdrowego i normalnego człowieka powinna się wahać około 37°, najniższa rano, najwyższa wieczorem.

Należy pamiętać, że podniesienie temperatury u dzieci wysokie nie przedstawia groźnego niebezpieczeństwa, gdyż jest to objaw często u dzieci spotykany i szybko przemijający.

Podniesioną temperaturę zwykle znamionują dreszcze.

Termometr u dorosłego człowieka należy trzymać pod pachą — u dzieci zaś w pachwinie lub w odbębni.

Gorączką nazywamy temperaturę podniesioną do 38, wysoką do 39° i powyżej.

W wielu nagłych wypadkach należy się zorientować, czy ma się do czynienia ze śmiercią właściwą, czy też pozorną.

Rozpoznanie śmierci pozornej jest w niektórych wypadkach bardzo łatwe, w niektórych zaś bardzo trudne. Człowiek może widzialnie nie oddychać, nie mieć wyczuwalnego pulsu, a jednak być wyratowanym. Są pewne próby do wykazania życia, np.: odruchy, o których już wspominałam, jednak nie zawsze odruchy wykazują życie. Do prób bardzo udanych należy przyłożenie lusterka do ust, najbliższy oddech wykaże zmętnienie na lusterku, następna próba jest przewiązanie silnie palca — u żywego człowieka on zesinieje — u martwego zostanie bez zmiany: wreszcie istnieje jeszcze próba przykładania gorącego laku do ciała ludzkiego — u żywego człowieka miejsce to zostanie zaczerwienione. Wszystko to jednak nie daje zupełnie pewnych rezultatów, jeśli nie mamy pewności śmierci np.: przy zatruciach, gdy kolor twarzy się nie zmienia, lepiej jest czekać na objawy występujące po kilku godzinach, jak plamy pośmiertne, zmętnienie rogówek i poczynający się rozkład ciała.

Przestrzegając powyższe środki ostrożności, można uniknąć wielu tragedii wynikłych z nieświadomości lub niedbalstwa.

Znane są straszne wypadki pogrzebania przy pozornej tylko śmierci, na szczęście w miarę postępu nauki i większego zaznajamiania ogółu z jej zasadniczymi wymaganiami, zdarzają się one coraz rzadziej.

Dr. J. Świtalska.

OBIADY NA MASZYNCIE

I. OBIAD NA TRZY OSOBY, MIĘSNY

Zupa kalafiorowa z boczkiem.

„Ragout“ z baraniny z cebulami duszonymi.

Niemiecki budyn waniljowy.

Zacząć od budyniu, zrobić go najlepiej zrana w dzień obiadu. Dwa żółtka ubić z filiżanką cukru na gogiel-mogiel, dodać kawałek wanilji, rozmiaru pół cala, utłuczonej lub utartej z częścią cukru. Zagotować pół litra dobrego mleka, dobre pół filiżanki mąki kartoflanej rozbić pół filiżanką wody, wylać na gotujące się mleko, zagotować, wybijając mocno, gdy zupełnie zgęstnieje, dodać utarte żółtka, wymieszać doskonale, nie gotując już więcej, aby się żółtka nie zwarzyły.

Trzy duże filiżanki herbatnie wypłókać wodą, wysypać cukrem, złożyć gorącą masę do nich i postawić na chłodzie. Przed wydaniem wyrzucić na talerz, po wierzchu ubrać konfiturami lub galaretką.

Na zupe nastawić pół litra wody z połową marchewki, pietruszki, cebulą i ćwierć kilo przerastającego, młodego boczku wieprzowego, zagotować, zszumować, przykryć pokrywą, ogień zmniejszyć, gotować wolno około godziny. Smak precedzić, włoszczyznę odrzucić, boczek pokrajać w kostkę. Duży kalafior — nie potrzebuje być bardzo ścisły i biały, podzielić na nąduże kwiatki, wrzucić do rosółu, gotować około dziesięciu minut, gdy zmięknie zaprawić zupe dobrą łyżką mąki, rozbitej w półkwatku śmietany, zagotować raz tylko i odstawić w gniazdo.

Trzy ćwierci młodej baraniny od mostku lub combra rozrąbać na sześć ładnych kawałków. Niedużą łyżkę masła rozpuścić w rondelku, zrumienić na niem baraninę, osolić, podlać parę łyżek rosółu lub wody, włożyć parę ziarn pieprzu, ziela, listek, dusić na wolnym ogniu pod pokrywą, około dwudziestu minut, często przewracając i podlewać wodą lub rosółem, aby się nie przypaliło, gdy już prawie miękie, włożyć sześć ładnych cebul z gatunku cukrowek, jako bardziej łagodnych w smaku. Dusić jeszcze minut dziesięć, przypruszyć wszystko lekko mąką, dolać jeszcze parę łyżek rosółu lub rzadkiej śmietany, zagotować raz, aby się uformował sos, gdy cebule zmiękną, ogień zgasić, rondel z „ragout“ przykryć pokrywą, aby nie wystygło, bo baranina musi być jedzona na bardzo gorąco. Podawać zupe. Gdyby „ragout“ miało stać dłużej, zanim zostanie podane, wstawić je też do gniazda.

II. OBIAD NA TRZY OSOBY, POSTNY

Zupa rybna zabieleną z makaronem.

Ryba smażona z kwaśną kapustą.

Grzybek z jabłkami.

Kilowego sandacza oczyszczonego rozplatać wzdłuż brzucha, wyjąć ość grzbietową i nieco drobniejsze ości, odjąć głowę i ogon, samą rybę pokrajać na równe, ładne dzwonka, osolić i złożyć w miseczkę

na godzinę. Zagotować litr i ćwierć wody z pietruszką, marchwią, cebulą, listkiem i pieprzem. Osolić dobrze, wrzucić głowę, ogon i ości od ryby, gotować wolno, aż się zupełnie rozgotują, precedzić, zasypać dziesięciu deka włoskiego makaronu w kształcie drobnych kluseczek, gotować mieszając, gdy zmiękną, wlać półkwaterek dobrej, gęstej śmietany i odstawić do gniazda. Przed wylaniem do wazy wysypać pół łyżeczki siekanego, zielonego koperku. W czasie gotowania zupy pół kilo kwaszonej kapusty polać łyżką dobrej oliwy, posypać łyżką cukru, pozostawić tak na godzinę przynajmniej.

Rybę utaczać w mące, na patelni rozpuścić dużo frytury lub smalcu, (na masle się pali) smażyć narazie na sporym ogniu, aby się zrumieniła, potem ogień przykręcić i dosmażać na wolnym, aby dobrze była przesmażona wewnątrz. Gdy gotowa, złożyć w rondel, zalać tłuszczem, w jakim się smażyła i odstawić w drugie gniazdo.

Dwa żółtka rozbić z pół szklanką mąki i szklanką mleka lub wody, gdy masa gładka, lekko osolić i zmieszać z dużym jednym lub dwoma mniejszymi jabłkami krajanymi w drobną kostkę. Białka ubić na sztywną pianę. Na patelni rozpuścić obficie masło, białka zmieszać z ciastem, wylać wszystko na masło, po paru minutach ogień zmniejszyć i smażyć bardzo wolno. Gdy spód rumiany, a masa cała zgęstniała przewrócić ostrożnie, jeżeli mało masła, podłożyć kawałek, znowu zwiększyć ogień, zrumienić drugą stronę, ogień zgasić, przykryć talerzem, aby nie wystygło. Obiad zaraz podawać, bo legumina stać długo nie może. Przed podaniem osypać grzybek obficie cukrem lub cukrem z cynamonem.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

RÓŻNE GARNITURY Z KARTOFLI

Krokiety kartoflane inaczej. Kilo kartofli ugotować w łupinach, oczyścić dopóki gorące, przepuścić przez maszynkę. Pół kilo kartofli obranych utrzeć na surowo na tarce, odcisnąć w czystej ściereczce, zmieszać obie masy razem. Dużą cebulę drobno usiekaną zasmażyć, nie rumieniąc w łyżce masła, zmieszać z masą kartoflaną, osolić, nieco opieprzyć białym pieprzem, dodać pół łyżeczki tartego majeranku, formować zgrabne kulki lub paluszki, utarzać w mące, smażyć na szmalcu lub fryturze. Gdy rumiane okładać sztafadę lub pieczeń wieprzową. Jeżeli chcemy te krokietki podać na oddzielną potrawę należy je przyrządzać dalej w sposób następujący: drobno pokrajaną słoninę przysmażyć na brytfannie w takiej ilości, aby było sporo tłuszczu, (na tę ilość pół kilo słoniny,) ułożyć na to krokietki, wstawić pod blachę, gdy się z jednej strony zrumieni przewrócić i zrumienić tak ze wszystkich stron. Krokietki przed podaniem polać szklanką dobrej śmietany, zagotować raz, krokietki wyłożyć na salaterkę, na brytfannę wlać parę łyżek wody, zagotować raz i tym sosikiem

KTO CHCE TANIO I ŁADNIE UBRĄĆ CHOINKĘ I PRAKTYCZNIE URZĄDZIĆ ŚWIĘTA — MUSI NABYĆ

„OZDOBY CHOINKOWE“ I „POTRAWY WIGILIJNE“

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“.

Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., które należy przesłać do Administracji „Życia Praktycznego“

Krak. Przedm. 99 przekazem pocztowym, lub na konto P. K. O. 170.

wraz ze skwarkami polać krokiety. Podawać bardzo gorące.

Kartofle w buljonie. Ugotować kartofle w łupinkach, obrać dopóki gorące, pokrajać w cienkie plastry. Do płaskiego rondla lub nelsonki włożyć kawałek surowego masła, na to włożyć kartofle, zalać tyle aby tylko objęło dobrym, mocnym rosołem, dodając kawałek suchego buljonu lub w braku jego, kostkę „Maggi“. Osypać grubo ostrym serem i wstawić w piec gorący na pięć minut. Podawać w tem samem naczyniu do pieczenia cięłej lub schabu wieprzowego.

Kartofle „lyonnaises“. Kartofle ugotować w łupinkach, ostudzić, pokrajać na cienkie plastry. Te kartofle się smaży na maśle, nie na żadnym innym tłuszczu. Na pół kilo już obgotowanych kartofli rozpuścić w rondelku dziesięć deka tłustego masła, utrzeć do niego na tarce dużą cebulę, poddusić na maśle, włożyć kartofle, posolić, popieprzyć i smażyć na wolnym ogniu aż się zrumienią. Przed podaniem wymieszać z garstką zielonej pietruszki usiekanej. Do befsztyka, kotletów, rumsztyka, sznycła i t. p.

ZUPA PIWNA

Dawniej będąca wszędzie bardzo w użyciu, zupełnie dzisiaj niespotykana, jest bardzo pożywna i wzmacniająca na dni postne, prędką i bardzo łatwą do zrobienia, dobrze więc byłoby sobie o niej przypomnieć. Na sześć osób wziąć dwie butelki czarnego piwa, dodać trzecią butelkę wody, pół filiżanki cukru, kawałek cynamonu i trzy goździki. Zagotować to wszystko razem. W chwili podania zmieszać z kwaterką najlepszej, gęstej, niezbyt kwaśnej śmietany. Oddzielnie podaje się do tego grzaneczki z chleba pytlowego lub czarnego zrumienione na maśle i dobry ser biały, pokrajany w kostkę. Zupełnie podaje się bardzo gorącą, i do każdego nalanego talerza wkłada łyżkę grzaneczek i łyżkę krajanek z sera.

LIKIER WANILJOWY

Duży strączek wanilji, cały, niekrajany, nalać w butelkę pół litrem spirytusu, i trzymać w cieple. Pół kilo cukru zagotować z dwiema szklaneczkami wody, dodać dwie łyżki syropu kartoflanego, aby likier miał właściwą gęstość, wrzucić kawałek, jak mały orzeszek kwasku, (soli cytrynowej). Rozetrzeć spirytusem zlanym z wanilji. Kto chce mieć likier bardzo mocny może dodać jeszcze pół szklanki spirytusu, — ja jednak uważam, że według pierwszej proporcji robiony, jest dostatecznie mocny

Pani Elżbieta.

* * *

Na liczne zapytania Czytelniczek jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy“, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje 1 zł. 50 gr.

Otrzymać je można w Adm. „Bluszcz“, która od Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 47

1071. Kapelusz z aksamitu koloru lie de vin, przybrany piaskową wstążką.
1072. Kapelusz filcowy koloru feuille morte, otoczony paskiem ze skórki.
1073. Kapelusz filcowy, przybrany riuszą ze wstążki.
1074. Suknia z jedwabiu i georgette'y koloru ciemnoniebieskiego.
1075. Suknia z georgette'y niebieskiej, przybrana ciemniejszymi paljetami.
1076. Suknia z jedwabiu koloru blond i złotej koronki, przybrana futrem.
1077. Suknia taftowa, przybrana haftem.
1078. Suknia wełniana z jasną kamizelką, przybrana haftem.
1079. Suknia granatowa, przód i kamizelka popielate.
1080. Suknia wełniana brązowa, kamizelka bois de rose.
1081. Suknia welwetowa koloru lie de vin, kamizelka szara.
1082. Szlafrok z deseniowej i gładkiej flaneli.
1083. Szlafrok z flaneli deseniowej, okładany gładką flanelą.
1084. Szlafrok z sukienka w dwóch kolorach.
1085. Szlafrok z flaneli, lub wełny gładkiej i w pasy.
1086. Wzory do wyszycia haftem kolorowym na białym i kombinacjach — wielkość naturalna.
1087. Środek poduszki — haft kolorowy.

KURS OGRODNICTWA DLA MIŁOŚNIKÓW

Dorocznym zwyczajem Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza trzymiesięczny kurs Ogrodnictwa dla Miłośników. Powinien on zainteresować panie ziemianki, w których rękach spoczywa zwykle kierowanie ogrodem, powinien zaciekać te panie, które posiadają letniska, czy wille podmiejskie, a wręcz niezbędny jest on dla osób, zamieszkujących coraz obficiej powstające wokół większych miast osiedla, zarządzane w charakterze miast ogrodowych. Osiedla takie, posiadające zagranicą ogródki jak pieścidełka, troskliwie pielęgnowane przez właścicieli, i stanowiące dzięki temu jakby dalszy ciąg mieszkania, letni salon — w naszych miastach ogrodach są najczęściej nieumiejętnie urządzone i zaniedbane. Takim stanowi rzeczy pragnie Koło Miłośników Ogrodnictwa przeciwdziałać, szerząc umiejętność pielęgnowania roślin.

Zapowiedziany kurs obejmie wszystkie działy ogrodnictwa. Ponieważ jednak dla osób przyjezdnych może przedstawiać trudność dłuższy pobyt w mieście, albo nie wszyscy interesują się narywnymi poszczególnymi działami wiedzy ogrodniczej, więc kurs został podzielony na 4 samoistne cykle i można zapisywać się na każdy z nich osobno. Pierwszy cykl obejmie wiadomości o glebie, uprawie i nawożeniu, oraz wiadomości o nasieniu. Cykl drugi będzie zawierał kurs warzywnictwa i wykład o przetwórstwie owoców i warzyw.

Cykl trzeci przewiduje sadownictwo, czyli zakładanie i pielęgnowanie sadów owocowych, oraz wskazówki zwalczania chorób i szkodników roślin.

W czwartym cyklu mieści się kwiaciarnictwo gruntowe, pielęgnowanie ogródków i pszczelnictwo.

Wykłady rozpoczyna się we wtorek, 23 listopada o 7-ej wieczorem, i będą się odbywały prawdopodobnie we wtorki, czwartki i soboty od 7 do 9 wiecz. Opłaty można wnosić, albo zgóry na cały kurs, albo na każdy cykl osobno, przyczem zapisujący się na cały kurs korzystają z ustępstwa. Wszelkich informacji udziela i zapisy przyjmuje inspektorka kursu, p. Marja Chmurkowska, Polna 32, tel. 55-88. Narazie dodajemy, że pierwsze dwa cykle zakończą się przed świętami Bożego Narodzenia.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.